



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Adam Barszczewski

Budki Szczęśliwickie

Podobno czas pozwala na zapomnienie, na złagodzenie bólu i żalu. Względna to prawda. Choć tyle lat minęło od mego dzieciństwa, naznaczonego bolesnymi osobistymi przeżyciami i wojną, tkwi w pamięci jak ostry cierń żal za beztroską, zabawą, radością. Lata przeminęły bezpowrotnie i nikt ich już mojemu pokoleniu nie zwróci. Współczesne dzieci z niedowierzaniem przyjmują opowieści swych dziadków. Żyją w pokoju i bez troski o byt codzienny. Może dlatego warto im przypomnieć lata, w których niemożliwe stało się możliwe, niewyobrażalne – prawdziwe.

Urodziłem się w 1932 roku, w ówczesnej wsi podwarszawskiej, Budki Szczęśliwickie (dziś jest to prawie centrum stolicy) – tam spędziłem swoje dzieciństwo. Pierwszym tragicznym zdarzeniem, które zaciążyło na moich przeżyciach i pozostawiło trwały ślad w mej pamięci, była śmierć mojej mamy – Elżbiety – zmarła w 1936 roku.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że w domu wydarzyło się coś, co będzie ciążyć na moim dzieciństwie, a właściwie w tym momencie skończyło się ono dla mnie. Mimo woli wszedłem już w dorosłe problemy, które zaczęły wyciskać piętno na mojej osobowości i dalszych losach.

W roku 1938 ojciec mój ożenił się po raz drugi z panią Marianną.

Jako macocha była dla mnie i mojej siostry bardzo dobra – cechowała ją troskliwość i opiekuńczość. Mimo, że krótko z nami była, bo do 1940 roku, bardzo ją polubiłem. Pracowała, tak jak mój ojciec, w Państwowej Wytwórni Karabinów w Warszawie (popularnie zwanej zakładami Gerlacha), mieszczącej się przy ul. Dworskiej. Jej zawdzięczam to, że w wieku 6 lat nauczyłem się czytać i pisać, recytować wiersze i pieśni żołnierskie, przerobiła cały program ówczesnej

1 klasy szkoły podstawowej. Ona udała się w lipcu 1939 roku do ówczesnego kierownika Szkoły Powszechnej we Włochach przy ul. Parkowej pana Antoniego Nowakowskiego, prosząc go o wcześniejsze przyjęcie mnie do szkoły i możliwość pójścia od razu do 2 klasy. Kierownik Szkoły po ożywionej rozmowie z drugą moją matką, zgodził się w końcu z jej argumentami i powiedział, że przyjmie mnie do klasy 2 jeśli uzyskam pozytywną opinię o mych wiadomościach, które miałem zaprezentować nauczycielce prowadzącej tę klasę. Prezentacja (egzamin) miała się odbyć 24 lub 25 sierpnia 1939 roku. Do wyznaczonego terminu egzaminu pozostawał jeszcze prawie miesiąc, który ja wraz z drugą mamą aktywnie wykorzystaliśmy na naukę. W wyznaczonym dniu udałem się wraz z mamą do szkoły – gdzie w sekretariacie oczekiwała na nas nauczycielka – żona kierownika szkoły. Egzamin składał się z czytania jakiegoś fragmentu z „Płomyczka” – napisania na tablicy jednego zdania podyktowanego przez panią Nowakowską, obliczenia dodawania liczb i wreszcie zadeklamowania wiersza – deklamowałem, pamiętam do dziś, wiersz pt. „Pałac Belwederski”.

Wynik egzaminu zakomunikowała mi mama, która wyszła z kancelarii uśmiechnięta. Zdałem i zostałem zakwalifikowany do 2-ki. 11 września miałem rozpocząć naukę.

Na drugi dzień po zdanym egzaminie ojciec i matka wrócili z fabryki później niż zwykle – obydwójce otrzymali maski przeciwgazowe, a mama dodatkowo granatowy mundur, na rękawie którego była naszyta opaska z czerwonym krzyżem. Nie zapomniała jednak o mojej szkolnej wyprawce – przyniosła też ramiec (czyli tornister), granatowy fartuszek, granatowy garnitur i piórnik – bardzo się z tego cieszyłem. Atmosfera w domu nie była jednak normalna. Obiad wszyscy jedli w milczeniu, pilnie wsłuchując się w pudło naszego nowego odbiornika radiowego marki Phillips, zakupionego 3 miesiące temu. W radiu mówili coś o próbnym alarmach lotniczych, o naklejaniu papierowych pasków na szybach, o zaciemnieniu – były to w danej chwili zupełnie obce problemy.

Radio rozbrzmiewało również zwiększonym repertuarem pieśni i marszy wojskowych. Okna naszego domu wychodziły na tory kolejowe linii Warszawa-Radom-Kraków, które oddalone były nie więcej jak 40 metrów – mnie zaciekawiły przede wszystkim wagony, na których ulokowano armaty, pojazdy opancerzone i inny sprzęt wojskowy. Wzmóżony ruch odbywał się w obydwie strony, zarówno do Warszawy jak ze stolicy.

W domu robiono zapasy mąki, cukru, hafty i zapalek – niezależnie od tego, że była u nas elektryczność. Zarówno ojciec jak i nasza druga mama coraz później przychodzili z pracy – ojciec 31 sierpnia, pożegnał się z nami mówiąc, że wyjeżdża służbowo do nowej miejscowości, gdzie mają być ewakuowani z pracy. Nadszedł ten pamiętny dzień 1 września 1939 roku. Nad ranem zbudziły nas silne detonacje.

Kiedy się już przebudziliśmy, widać było nadlatujące formacje, samolotów niemieckich, kierujących się na lotnisko Okęcie i Mokotowskie, nad obiekty kolejowe, znajdujące się w rejonie tzw. 6 posterunku, to jest w okolicy ul. Mszczonowskiej, Batoryjki, Pomnikowej, Gazowni Warszawskiej i Dworca Zachodniego. Widać było nawet bomby spadające na te obiekty i po chwili usłyszeliśmy ich detonacje. Mama zaczęła wraz z babcią Jadwigą pakować nasze rzeczy osobiste, powzięto bowiem decyzję, że z powodu bliskiego usytuowania torów kolejowych będzie tu niebezpiecznie i postanowiono wywieźć nas do rodziny zamieszkanej w Warszawie przy ul. Wspólnej 64. Przypuszczano też, że Niemcy nie będą bombardować ludności cywilnej, że tam będzie bezpiecznie. Rzeczywistość wkrótce okazała się tragiczna. Pamiętam dobrze ten dzień – około godziny 10 rano udaliśmy się na przystanek kolejki EKD w Szczęśliwicach – pożegnaliśmy się z babcią i wsiedliśmy. Podróż, choć niewiele miała kilometrów, trwała przeszło godzinę – gdyż maszynista kilkakrotnie zatrzymywał się i stał w cieniu drzew – raz w pobliżu ul. Opaczewskiej, ponieważ samoloty niemieckie bombardowały zajezdnię na tejże ulicy, później przy ul. Szczęśliwickiej z uwagi na bombardowanie dworca Warszawa Zachodnia, a następnie przy dojeździe do ul. Niemcewicza, bo paliły się usytuowane tam składy drewna i węgla. Wreszcie dojechaliśmy do ul. Nowogrodzkiej. Stamtąd już było parę kroków do mieszkania ciotki Kowalskiej na ul. Wspólnej 64. Rodzina ciotki była dość liczna – miała ona 5 dzieci już dorosłych. Hela i Zofia były dorosłymi pannami, Franek pracował jako tokarz narzędziowy w PZL Okęcie, Józef pomagał ciotce w interesach opałowych – rozwózając opał dla klientów (węgiel, koks, drewno), a moja chrzestna matka – Janina była zamężna i mieszkała osobno na ul. Młynarskiej. Pobyt nasz na ul. Wspólnej 64 wcale nie był tak „bezpieczny jak to się wydawało ojcu, babci i mamie, bowiem niedaleko kamienicy znajdowały się obiekty strategiczne, to jest Poczta i Główny Urząd Telekomunikacyjny (róg Nowogrodzkiej i Pozańskiej), dawny Dworzec Główny PKP, zaś za Urzędem Telekomunikacyjnym, przy „Romie”, mieściły się duże magazyny. Na dachu Głównego Urzędu Telekomunikacyjnego umieszczony był przeciwlotniczy, ciężki karabin maszynowy, którego obsługa wojskowa broniła tych obiektów przed zbombardowaniem przez hitlerowskie lotnictwo.

Ciotka przy składzie węgla miała też sklepik warzywno-owocowy – mieściły się one w piwnicy kamienicy na jogu Wspólnej i Marszałkowskiej. W ciągu 3 dni przygotowano wykładzie węgla pomieszczenie, i gdzie usytuowano polowe łóżka i sienniki ze słomą, na których zaczęliśmy sypiać, a w miarę nasilania ataków lotniczych i ostrzału Warszawy – musieliśmy, tam przebywać non stop przez cały dzień i noc. Były to solidne piwnice o mocnych sklepieniach.

Kilka dni przed wybuchem wojny .został zmobilizowany do wojska mąż siostry ojca, wujek Marian – który otrzymał przydział mobilizacyjny do jednostki wojskowej gdzieś w okolicach Pragi – posiadał on nasz adres u ciotki w Warszawie.

Po tygodniu zjawiał się u nas – radość była duża, a szczególnie z tego, że przyniósł z sobą parę bochenków wojskowego chleba, odwiedzał nas jeszcze chyba dwukrotnie, zawsze przywożąc chleb, a podczas ostatniej wizyty pozostawił też nam całą zapiekowaną łopatkę wieprzową i 2 duże konserwy wojskowe.

W Warszawie zaczęto odczuwać braki, szczególnie jeśli chodzi o chleb, mięso i jarzyny.

Wujek Franek, wówczas jeszcze kawaler, i nie przebywał często w domu, gdyż zakłady PZL na Okęciu jako obiekt o profilu wojskowym pracowały w systemie zmobilizowanym na 3 zmiany (do momentu ich zniszczenia). Dopiero po 8 września 1939 był już na stałe w domu zabierał mnie często na

przechadzki do Łazienek. Podczas jednej takiej wyprawy przeżyliśmy nalot lotniczy, który zaskoczył nas w okolicy Placu Trzech Krzyży.

Samoloty niemieckie bombardowały min. Most Poniatowskiego, tory kolejowe w okolicy Solca, Szpital Ujazdowski. Widziałem wówczas, jak atak niemieckich bombowców próbowały odeprzeć nasze nieliczne myśliwce. Wtedy dla mnie, jeszcze nie rozumiejącego barbarzyństwa tej wojny, ten widok był fascynujący. Widziałem na niebie tylko jakby duże i małe latające „ważki” – te małe to były nasze myśliwce, a duże – niemieckie bombowce. Nasze atakowały przeważnie z góry, rozpraszając wrogie szyki. Po odlocie myśliwców sprawę przejmowała artyleria przeciwlotnicza i przeciwlotnicze karabiny maszynowe. Mnie, dziecko, fascynowały rozbłyski rozrywających się pocisków przeciwlotniczych i wyrastający zaraz obłoczek z rozerwanego pocisku – nie zdawałem sobie sprawy, że to wszystko jest tańcem śmierci. Nie zapomnę mego okrzyku do wujka Franka, kiedy nadlatywała fala niemieckich bombowców, kierująca się w stronę Szpitala Ujazdowskiego. Wołając: „Patrz wujku, jakie ładne srebrniaki lecą po niebie” – nie zdawałem sobie sprawy, że będą one zabijać niewinnych ludzi i niszczyć ich dobytek. O tych „srebrniakach” wujek Franek stałe mi przypominał podczas naszych spotkań – chociaż już byłem starszym panem, a wujek Franek starym dziadkiem.

W połowie września zjawił się na ul. Wspólnej mój ojciec. Ich ewakuacyjny transport został rozbity przez lotnictwo niemieckie w okolicach Małkini – kierownictwo Fabryki Karabinów podjęło decyzję o rozwiązaniu umowy, wypłaciło pracownikom 3 miesięczne pobory i zwolniło do domów.

Ojciec z drugą mamą i ciotka Kowalska około 20 września 1939 roku – siedząc w piwnicy w składzie węgla – podjęli decyzję o przeniesieniu nas do dzielnicy Wola – gdzie mieszkał chwilowo stryjek Leonard z żoną Ireną. Mieszkali oni przy ul. Wolskiej, niedaleko torów kolejowych, w drewnianym niby piętrowym domku swego teścia, który zatrudniony był w Fabryce Karabinów jako szlifierz narzędziowy.

Przez 2 lub 3 dni nie opuściliśmy naszego schroniska na ul. Wspólnej z uwagi na coraz bardziej nasilające się bombardowania i ostrzał artyleryjski. Coraz bardziej dokuczał głód, nie było co jeść, nie było już światła. Te dni przesiedzieliśmy w piwnicach składu węglowego. Wieczorem jednak mieliśmy iść na Wolę. Ciotka Kowalska przed naszym wyjściem, nie wiem skąd, zdobyła bochenek chleba, który uroczyście pokroiła, częstując każdego skromną jego kromką. Ten kawałek chleba smakował wówczas jak najlepszy delikates. Nie najedliśmy się, ale była to uczta niebywała.

Wieczorem 23 lub 24 września 1939 roku pożegnaliśmy się z całą rodziną Kowalskich – chwilowo ustał ostrzał artyleryjski (w nocy Niemcy mniej strzelali), a lotnictwo było też mniej aktywne. Szliśmy w stronę Woli ul. Nowogrodzką, Żelazna, Towarową do Wolskiej – był to marsz bardzo uciążliwy i straszny. Palące się domy, zawalone kamienice utrudniały go – właściwie był to przemarsz przez piekło. Killakrotnie z uwagi na ostrzał artyleryjski chowaliśmy się w bramach kamienic, wreszcie o świcie znaleźliśmy się na ul. Bema, skąd już do mieszkania teściów stryja Leonarda dzieliło nas tylko przejście pod wiaduktem kolejowym – niestety było ono już zabarykadowane – miejscowi mieszkańcy wskazali nam przejście, którego używali, przechodząc przez wierzchołek nasypu kolejowego. Tak dotarliśmy wczesnym porankiem do mieszkania rodziny stryjka. Nie było czasu na powitanie – rozpoczęła się bowiem poranna kanonada hitlerowskiej armii. Ukryliśmy się w wykopanym przy domu schronie, ale jaki to był schron w porównaniu z solidnymi piwnicami składu węglowego, który niedawno opuściliśmy.

Ostrzał artyleryjski trwał bez przerwy, nie można było wychylić głowy z prymitywnego schronu ani wyjść do WC za swoją potrzebą. Lotnictwo niemieckie szalało, rzucając bomby na przemian burzące i zapalające, na pobliskie zakłady przemysłowe, wiadukt kolejowy, składy i hurtownie i domy mieszkalne. Schron w pewnym momencie odwiedził jakiś żołnierz polski z niedalekiego od posesji domku stanowiska ogniowego, gdzie był okopany CKM. W prowadzonej ze stryjkiem Leonardem rozmowie poinformował, że Niemcy rozpoczęli generalny szturm Warszawy. Optymizm ojca na temat spokojniejszego miejsca na Woli walił się w gruzy. Od momentu wyjścia od ciotek z ul. Wspólnej i zjedzonej kromki chleba nikt nie dostał nic do jedzenia, siedzieliśmy nie tylko głodni ale i porażeni nawałnicą wybuchających pocisków i bomb oraz szalejących pożarów. W pewnej chwili usłyszeliśmy świst spadającej bomby i jej wybuch, a za chwilę wpadł do schronu żołnierz z obsługi ckm-u krzycząc, że nasz dom został zbombardowany i pali się. Oczywiście stryjek, ojciec, teść stryja i 2 jeszcze mężczyźni wyskoczyło ze schronu, ale nie było już czego gasić, gdyż z domku pozostała sterta połamanych i poskręcanych belek i desek, które płonęły jak dobre ognisko, na które użyto wyschniętego chrustu. Cały dobytek teścia stryja leżał w gruzach i pochłonął go ogień.

Teściowa i teść stryjka zostali w schronie z dobytkiem składającym się z jednej torby i walizki.

Niestety kanonada artyleryjska i serie ckm-ów i broni strzeleckiej nie ustawały. Wkrótce podjęto w gronie osób dorosłych decyzję, że musimy się przenieść do znajdującej się niedaleko solidnej kamienicy, potocznie zwanej Hanusza. Wykonanie tego zamiaru nie było łatwe z uwagi na prowadzony ciągle ostrzał – wreszcie w godzinach południowych ogień artyleryjski trochę ustał i wszyscy skuleni jak zające przebiegliśmy tę drogę i znaleźliśmy się w pomieszczeniach piwnicznych tej kamienicy – gdzie

przyjęli nas jacyś znajomi stryjka Leonarda. Oczywiście nadal byliśmy bez żadnego jedzenia. Wieczorem stryjek Leonard wyszedł z piwnicy i po jakimś czasie przyniósł kilkanaście ugotowanych ziemniaków w mundurkach, które jak mówił, wyprosił od naszych żołnierzy. Nadeszła noc, która była chyba najtragiczniejsza, trwał bowiem cały czas ostrzał artyleryjski i wszędzie rozrywały się pociski. W pobliżu naszego schronienia wokoło szalało morze ognia – cała kamienica nieustannie się kołysała i trzęsła. Zewsząd słychać było płacz, modlitwy i przekleństwa. Ludzie byli po prostu oszołomieni, czekając na rychłą śmierć. Pamiętam, że w piwnicach tej kamienicy były powybijane otwory, którymi można było wydostać się do sąsiednich domów i posesji. Po kolejnej nawałnicy artyleryjskiej w takim przejściu ukazała się postać polskiego oficera – cała jego twarz była ciemna od sadzy (czy prochu) – mundur zaś pokrywała gruba warstwa białego tynku. Został natychmiast otoczony przez mężczyzn znajdujących się w piwnicy. Był wśród nich też mój ojciec ze stryjkiem Leonardem. Ten ostatni dzielił się później zasłyszczanymi od tegoż oficera wiadomościami, że „jeśli przeżyje się jutrzejszy dzień, to będzie się żyło” – gdyż dowództwo już nie widzi możliwości dalszego prowadzenia walki, bo nie ma dostaw amunicji, żywności, lekarstw. Stwierdził, że od 2 dni wojsko nie jadło gorącej – stawy, bo kuchnie polowe nie mają co wkładać do kotła, a ostatnie godziny szturm niemieckiego spowodowały ich rozbicie. Nastająca noc z 26 na 27 września nie była spokojna – nawała ognia wroga trwała bez przerwy – wszyscy mieszkańcy kamienicy nie zmrúżyli oczu.

Ranek 27 września 1939 roku znów zaczął się od nawały ogniowej artylerii. Lotnictwo niemieckie uderzyło na miasto. Tego dnia chyba nigdy nie zapomnę – naloty bombowców trwały, jak zakodowałem w pamięci, bez przerwy. Nasza obrona przeciwlotnicza w zasadzie milczała – brak było pocisków do armat i broni maszynowej. Rozzuchwaliło to niemieckich lotników do tego stopnia, że latali prawie nad dachami domów. Trwało to do godzin południowych, po których nastąpiła cisza – umilkły strzały. Napotkani polscy żołnierze – na pytanie stryjka Leonarda, co się stało – odpowiedzieli, że nastąpiło zawieszenie broni i trwają rozmowy kapitulacyjne. Przygniatające to były wieści. Wyszliśmy z piwnicy i ujrzelśmy stosy gruzów oraz olbrzymie pogorzeliiska tam, gdzie niedawno stały jeszcze domy, a dziś po nich zostały kikuty sterzących samotnie kominów. Podwórka i place wyglądały jak małe cmentarze i jedynie krzyże wystające z ziemi, częstokroć z wiszącym na nich hełmem, potwierdzały tę okrutną prawdę. Ten krótki rekonesans był wstrząsający. Jeszcze gorsze wrażenie zrobił na nas widok pobliskich stanowisk bojowych naszych żołnierzy, którzy już wiedzieli, że jutro będzie ich formalna kapitulacja.

W związku z tym niektórzy uderzali o narożnik domu posiadany karabinami, utracając im kolby, inni wyrzucali w zarośla zamki od karabinów i niszczyli amunicję, gniotąc ją metalowymi przedmiotami lub zakopując w ziemi. Jeden z żołnierzy zapytał, czy jestem głodny – odpowiedziałem, że tak. Rozpiął wówczas swój chlebak, w którym miał połowę kostki kawy z prasowanym cukrem – wręczając mi to, tłumaczył się, że nic innego nie ma do jedzenia. Łapczywie zjadłem ten drogocenny prezent – smakował jak najwytworniejsza czekolada.

Rzeczywiście następnego dnia nastąpiła kapitulacja – wojsko opuszczało z bronią swe pozycje, udając się w wyznaczone rejony kapitulacyjne. Stryjek Leonard – znający dobrze te okolice – oświadczył, że idzie na tory kolejowe, może coś znajdzie do jedzenia przy rozbitych wagonach towarowych. Powrócił koło południa, niosąc w torbie 2 puszki ogórków konserwowych i mak z piachem, który wysypał się na tory z rozbitego wagonu.

Na te ogórki cała rodzina wyraziła chęć, na zapiaszczony mak nie było amatora. Torba z makiem leżała nie ruszona przez następny dzień na sienniku stryjka.

Następnego dnia po kapitulacji rozeszła się wiadomość, że już można poruszać się i Niemcy nie robią przeszkód w dojściu do stałych miejsc zamieszkania.

Oczywiście natychmiast spakowaliśmy nieliczne bagaże i udaliśmy się w drogę do naszego domu na Budkach Szczęśliwickich. Ojciec prowadził za rękę siostrę Krystynę, zaś matka prowadziła mnie. Szliśmy do przejścia przez tory kolejowe na tzw. 6 posterunku (przejazd kolejowy przy ul. Mszczonowskiej). Idąc ul. Prądyńskiego i Orдона, widzieliśmy ogromne zniszczenia nie tylko domów mieszkalnych, ale i zakładów, przemysłowych. Niestety szlaban kolejowy był zamknięty, a przy nim: stali Niemcy, i nie przepuszczali nikogo. Znów wróciliśmy do tej samej piwnicy – stryj Leonard też tam jeszcze przebywał. Jedzenia żadnego nie było. Jakaś pani, gdy płakaliśmy z siostrą, że jesteśmy głodni, dała nam zdobytą gdzieś niedużą brukiew, którą zjedliśmy momentalnie.

Próbę powrotu do domu podjęliśmy następnego dnia. Ja, będąc rano głodny, zjadłem 2 garście maku, który zdobył na torach stryjek. Oczywiście zapiaszczony mak zadziałał jak olej rycynowy, dlatego nasza wędrówka ku pieleszom domowym wydłużała się strasznie. Po kilkunastu moich przymusowych odchodzeniach na stronę dotarliśmy znów do przejścia kolejowego. Wartownicy niemieccy nadal nie pozwalali na przejście przez tory, a ta tylko droga prowadziła do domu. Czekając tak, znów trzykrotnie musiałem iść na stronę, aby załatwić swe potrzeby fizjologiczne. Wreszcie starszy wiekiem wartownik niemiecki zlitował się nad nami i pozwolił na przejście.

Cały kwartał torów kolejowych w okolicy przejazdu przy ul. Mszczonowskiej przedstawiał żaloszny widok – zniszczone tory, budynki, rozbite i częściowo spalone wagony, uszkodzona wieża ciśnień, parowozownia, tłący się jeszcze na składowisku dla lokomotyw węgiel i liczne małe krzyże na mogiłach nie wiadomo czyich – kolejarzy, wojskowych czy cywilów.

Wreszcie skończyły się tory i znaleźliśmy się przy dawnej ul. Kołomyjskiej, która tylko z nazwy była ulicą, a właściwie była to gruntowa droga nie utwardzona, prowadząca do naszej wsi Budki Szczęśliwickie. Teraz przyspieszyliśmy nasz marsz – dom był już blisko.

Droga przechodziła blisko torów kolejowych, prowadzących z Warszawy do Łodzi i Katowic, które były też częściowo zniszczone, a po ich bokach leżało mnóstwo porozrzucanego sprzętu wojskowego, jak też ludzkiego dobytku, leżały też padłe konie. Dochodząc do dawnego mostu tzw. Radomskiego, ujrzałem, że był on przedmiotem ataków lotniczych. Świadczyły o tym liczne leje poniżej jego posadowienia po wybuchach bomb – most jednak stał.

Po kilkudziesięciu metrach doszliśmy do istniejącej wówczas fosy przyfortowej, dochodzącej do starego fortu Szczęśliwickiego. Na jej zboczach po jednej stronie leżały jeszcze nie pochowane zwłoki 3 żołnierzy polskich, po drugiej jej stronie zauważyłem 2 trupy żołnierzy niemieckich. Tak znaleźliśmy się przy zabudowaniach gospodarczych rodziny państwa Kartasiewiczów, Wnorowskich – parę kroków szliśmy i już było widać duży kwartał zabudowań naszej ówczesnej wioski. Pierwsze spojrzenie nie wskazywało, aby jakieś domki były zniszczone. Dochodząc jednak do kamienicy państwa Wrońskich, ujrzałem, że posadowione obok niej zabudowania rodziny Piekarskich zostały spalone przez bomby lotnicze. Minęliśmy sklepik państwa Mireckich, zabudowania rodzin Olczaków, Sucharskich, Kurowskich i Dziadka i już był nasz dom – przed którym stała babcia, która na nasz widok wycierała łzy fartuchem. Na rozpalonej blasze kuchennej gotowało się mleko, ziemniaki i wokoło rozchodził się zapach smakowitej zupy jarzynowej. Czegoś takiego przez kilka ostatnich dni, będąc w Warszawie, nie wachaliśmy, nie mówiąc o jedzeniu. Oczywiście ja zostałem wyłączony z tych przyjemności jedzenia (z uwagi na trwający rozstrój żołądka). Babcia domowym sposobem zaaplikowała mi stary sposób na takie dolegliwości: piołun, który niestety musiałem wypić i to była moja kolacja.

Stryj Leonard również wrócił do swego domu (bez żony, która została jeszcze na Woli) i po obejrzeniu swoich zabudowań przyszedł na kolację do nas. Prosił babcię o kawałek chleba do zupy – babcia powiedziała, że nie ma chleba, a w piecu stoją od 18 września spalone foremki z chlebem, który usiłowała upiec, lecz wkraczający żołnierze niemieccy wyrzucili ją z zabudowań i nie dopilnowany chleb w piecu przypalił się.

Stryjek był tak spragniony tego chleba, że ze środka wykroił kwadrat najmniej spalonego pieczywa o kolorze piernika i zjadł go łączywie, także talerz zupy, a później resztę zjadł, popijając filiżanką gorącego mleka. Za chwilę powiedział do babci „Ciociu ja takiego dobrego chleba nie jadłem nigdy w życiu”.

Babcia opowiedziała zgromadzonym przy stole, jak Niemcy zajęli wieś Budki Szczęśliwickie i prowadzili natarcie na Ochotę i Wolę oraz fort Szczęśliwicki. Nic jej nie dali zabrać i siłą wyrzucili z domu, a wszystko, co zabrała z sobą to pasąca się na łące (działce pani Godlewskiej) krowa. Potem babcia udała się do swojej dobrej znajomej pani Fołtynowej zamieszkałej we Włochach k/Warszawy przy ul. Granicznej (obecnie Krańcowej), gdzie wraz z mężem prowadzili małe ogrodnicze gospodarstwo, którego część ziemi znajdowała się w Budkach Szczęśliwickich. Do domu wróciła dopiero 30 września. Jeszcze nie zdążyła nawet uprzątnąć mieszkania, w którym kwaterowali Niemcy. W jednym i drugim pokoju na podłodze leżały sterty słomy, na której spali żołnierze, wały się tam puszki po konserwach, opakowania po wypalonych papierosach, zapocone skarpety i onuce, przed domem leżały wystrzelane łuski od karabinowej amunicji. Z dachu domu był dobry wgląd na polskie pozycje, usytuowane na fosie przyfortowej, prowadzącej do fortu Szczęśliwickiego – zaś na murowanej kalenicy dachowej chroniącej dach było widać kilka otworów od kul karabinowych wystrzelonych z polskich pozycji do Niemców.

Pierwsze ofiary w tej wojnie w naszym obejściu to zastrzelone przez niemieckich żołnierzy dwa psy – Amir i Mortus, które leżały na stercie obornika za oborą.

Rodzice i babcia zaczęli porządkować obejście. Zabite psy zakopano, z piwnicy wyciągnięto pościel i inne przedmioty – stwierdzono, że ktoś ukraść część zastawy stołowej i futro zmarłej mamy.

Na rozpalonej kuchni znalazł się kocioł bielizniany z wodą, a w spiżarni ustawiono balię do prania (która spełniała rolę wanny kąpielowej). Najpierw wykąpana została siostra, później ja. Tej nocy nie spaliśmy w mieszkaniu, gdyż nie zostało ono posprzątane z pozostałości po żołnierzach okupanta. Na strychu przygotowano sienniki i materace i tam przespaliśmy tę pierwszą noc po dotychczasowej wojennej wędrówce.

Rano zbudziłem się głodny – dostałem na śniadanie trochę kleiku z kaszy na mleku. Drugi dzień w domu upływał na porządkowaniu mieszkania. Zajęcia w pewnej chwili zostały przerwane z uwagi na krzyk babci i jej szybkie wybiegnięcie z domu na nasze pole. Dostrzegłem 2 żołnierzy niemieckich, którzy zaczęli wyrywać bulwy brukwi (która stanowiła karmę dla krowy), zaś na uprawnych zagonach

pana Łagowskiego stał ich wóz konny, na którym leżały już wykopane jarzyny: marchew, pietruszka, cebula i kapusta zabrane z pola tego gospodarza.

Babcia w euforii – wyrwała Niemcom z rąk trzymaną brukiew i głośnym potokiem słów wyzywała od złodziei i szubrawców, jednocześnie popychając ich, aby zaprzestali wyrwywania. Jej zdecydowana postawa i krzyki doprowadziły do tego, że po chwili Niemcy odeszli z naszego pola, wsiedli na wóz i odjechali.

Było to pierwsze zwycięstwo babci w walce z Niemcami. Dopiero później uświadomiła sobie, że mogli ją wówczas za to zastrzelić.

W końcu października 1939 roku dziadek Jan (ze strony ojca) został odwiedzony przez ówczesnego przodownika Policji Granatowej pana Kusiaka, który mu oświadczył, że musi zdać legalnie posiadany (pistolet, gdyż takie wyszły zarządzenia ze strony władz okupacyjnych i zabrał go od Dziadka).

Za kilka dni wspomniany wyżej policjant odwiedził znów nasz dom, zlustrował pomieszczenia mieszkalne – pytając się, gdzie schowaliśmy nasz radiodbiornik marki Phillips – gdyż on także podlega konfiskacie na mocy zarządzenia władz okupacyjnych. Ojciec nie mógł się wykreścić i powiedział, że leży on w piwnicy pod węglem – policjant kazał go wydobyć i oddać. To polecenie musiałem wykonać ja – gdyż piwnica była niewysoka i dorosła osoba musiała się w niej pochylać. Wygrzebany spod zwału węgla odbiornik, okręcony w papę, wyniosłem na górę a ojciec oddał go panu Kusiakowi. Tak straciliśmy nasze radio. Wkrótce ukazało się zarządzenie władz niemieckich nakazujące przymusowe stawienie się do poprzednich miejsc pracy – groziło ono karami grzywny i więzienia w razie niewykonania tych nakazów. Ojciec z drugą mamą powrócili do pracy w Fabryce Karabinów na ul. Dworską, która teraz nazywała się zakładami Steier i Daimler i Puch. W tych zakładach ojciec, podobnie jak przed wojną, zatrudniony był jako elektryk w Wydz. Elektrycznym, którego majstrem był W. Śliwiński. Zakład wykonywał w czasie okupacji produkcję zbrojeniową dla Niemców – dawało to zatrudnionym tam względne ułatwienia w razie łapanki i wywozu na roboty przymusowe do Niemiec ze względu na mocne dokumenty o ich zatrudnieniu w zakładzie zbrojeniowym. Pewnego październikowego dnia pojawiło się na polu działki należącej do stryjenki Antoniny Kilenowej 3 mężczyzn, którzy przy granicy naszego pola zaczęli kopać fundamenty pod dom. Okazało się, że był to zięć stryjenki, Julian Wróblewski z kolegami z pracy. Zatrudniony on był w Zakładach Mechanicznych Edwarda Ortweina we Włochach jako tokarz. Żona Juliana – Maria była córką stryjenki Antoniny. Ich mieszkanie legło w gruzach przez zbombardowanie go w czasie nalotu na fabrykę przez lotnictwo hitlerowskie. Zostali bez mieszkania, a życie uratowali dlatego, że przebywali na wakacjach na wsi w Leonowie k/Łowicza.

Stryjenka wydzieliła im część działki pod zabudowę – tak poznałem część swojej rodziny, której do wojny nie znałem. Wujek Julian miał 2 dzieci córkę Janinę i syna Jerzego. Byli to nowi sąsiedzi.

W początkach listopada 1939 roku rozpoczęliśmy naukę w otwartej, wreszcie szkole powszechnej, mieszczącej się przy ul. Parkowej we Włochach – dotychczas była zajęta przez okupanta. Zaczęłem uczęszczać do 2 klasy. Nauczycielką naszą była początkowo pani Nowakowska. Później do końca okupacji uczył nas nieoceniony pedagog śp. Franciszek Maguza.

Przy ul. Jakubowskiej (dziś Naukowa), część mieszkańców wykupiła parcele i pobudowała swe domostwa. Zaraz po zwycięstwie Niemiec hitlerowskich na ich domach zawisły flagi ze swastyką. Okazało się, że nasza bliska, sąsiadka z ul. Jakubowskiej, kupująca u babci przed wojną mleko już mleka nie brała – paradując ze swastyką w kłapie swojej sukni. Córka ich, rówieśnica mojej siostry, Henryka, zaczęła chodzić w mundurku HJ, tak samo syn Teodor – mój rówieśnik. Dalsi mieszkańcy tej ulicy Stahlowie, Desze, Bucholce też afiszowali się noszonymi swastykami, przyozdabiając swe domy flagami z swastyką. Synowie starego Frydrycha, również paradowali w mundurkach HJ.

Zbiórki młodzieży z HJ odbywały się w kościele ewangelickim tuż przy budynku naszej szkoły. Pierwsze upokorzenie, jakiego doznałem ze strony niedawnych sąsiadów, to wyzwanie mnie przez Henrykę Karwizównę od „polskich świń” i uderzenie mnie w twarz. Za to odparowałem jej, iż ona jest swinią niemiecką. Dołączyła się do policzkowania mnie druga sąsiadka, córka Stahłów, Irmina – również należąca do rasy „panów”. Takie były początki panowania rasowego chwilowych zwycięzców.

Synowie Frydrycha brali udział w obławach na Polaków. Starszy Mundeck, ma na swym sumieniu śmierć niewinnego człowieka, pracownika kolejowego pana Odolczyka, którego zastrzelił (na aktualnej ul. Mikołajskiej), gdy ten szedł do pracy. Stało się to podczas ucieczki jakiegoś mężczyzny, gonionego przez dwóch żandarmów, którzy będąc na wysokości domostwa państwa Rokitów, skrył się w zboże rosnące wówczas na polu Hasów. Mundeck Frydrych, widząc pogoń żandarmów za tym człowiekiem, wszedł na dach swego domu z karabinem, a nie widząc uciekającego wziął na cel idącego ul. Mikołajską pana Odolczyka i zastrzelił go. Córka zastrzelonego chodziła razem ze mną do jednej klasy szkoły powszechnej we Włochach.

Po wyzwoleniu, kiedy odbywałem praktykę w Zakładach Mechanicznych E. Ortweina, tokarz, pan Marchel opowiadał mi, że w czasie nalotów niemieckich w 1939 roku widział, że Frydrych dawał znaki latarką lotnikom niemieckim, wskazując w ten sposób cele na warszawskim węzle kolejowym. Stary Frydrych w krótkim czasie nosił już mundur niemieckiej formacji SS.

Wkrótce wprowadzono nowe porządki, jeśli chodzi o publiczne środki komunikacyjne. W tramwajach miejskich przednie części wagonów wydzielono tylko dla Niemców, to samo dotyczyło kolejki EKD jak też podmiejskich pociągów.

Ludność żydowska, jeszcze nie zamknięta w getcie musiała nosić naszyte na ubraniach gwiazdy dawidowe. Wprowadzono też kartki żywnościowe. Innym zarządzeniem nakazano koczowanie krów, świń i obowiązkowe dostawy mleka. Zarówno zarządzenie o kartkach aprowizacyjnych, jak i dostawie mleka dotknęło szczególnie mnie. Ojciec zobowiązał mnie do pobierania przydziałów kartkowych, które musiałem odbierać w kooperatywie przyfabrycznej, mieszczącej się w budynku dawnej Fabryki Karabinów przy ul. Dworskiej. Deputaty kartkowe musiałem odbierać 2 razy w tygodniu, przebywając pieszo od naszej wsi do zakładów karabinowych około 12 kilometrów. Moim obowiązkiem było też codzienne odnośnienie wyznaczonego kontyngentu mlecznego do niemieckiej zlewni, mieszczącej się na Okęciu (obecnie ul. Radarowa) – odległości były podobne – czyli 12 kilometrów codziennej drogi pieszo tam i z powrotem.

Mleko trzeba było dostarczać w godz. Od 6 do 8 rano. Ponieważ zajęcia w szkole też odbywały się od godz. 8, więc byłem budzony o godz. 5 rano, aby zdążyć do szkoły. Choć byłem dzieckiem – już przez te obowiązki stawałem się dorosłym, ale to były jeszcze nie wszystkie obowiązki ciężące na mnie. Musiałem po lekcjach w szkole pasać krowę na łąkach koło fortu Szczęśliwickiego, między torami kolejowymi, lub w innych miejscach.

Ojciec musiał dorabiać, gdyż wynagrodzenie otrzymywane w fabryce nie wystarczało na dokupienie artykułów żywnościowych (które były nie wystarczające z przydziałów kartkowych), nie mówiąc o ubraniu czy obuwiu.

Babcia pracowała najciężej. Jej krowa była główną naszą żywicielką. Codziennie mieliśmy przynajmniej po garnku mleka i często były na nim zacierki, a od czasu do czasu jedliśmy własne masło.

Często musiałem jeździć na Kercelak (bazar), gdzie babcia zlecała mi zakup tzw. makuchu – czyli wytłocznin z nasion oleistych, które były karmą dla zwierzęcia.

Babcia pracowała całe lato u bogatych gospodarzy przy pieleniu warzyw, jesienią zaś przy ich obrzynaniu. W zamian za to otrzymywała dla krowy karmę w postaci drobnych marchewek, liści buraczanych, liści i głąbów z kapusty, słomę na ściólkę i siano – nie otrzymując pieniężnej zapłaty.

Nadeszła zima roku 1939/40, była straszna – z mrozami dochodzącymi do minus 40° C. Kończyły się zapasy węgla i drewna. Ludzie zaczęli rozbierać do palenia własne ogrody. Pękały na tym mrozie drzewa owocowe, szczególnie czereśnie i grusze. Na naszej działce 3/4 drzew zniszczył wtedy mróz. W szkole przerwano zajęcia z powodu braku opału – kierownik szkoły pan Nowakowski, zwrócił się z apelem do rodziców i dzieci, aby w miarę możliwości każdy przynosił do szkoły parę kilogramów węgla i drewna do palenia w piecach.

Byliśmy w tej dobrej sytuacji, że mieszkaliśmy tuż przy torach kolejowych. Zaczęły się wędrówki po torach i zbieranie węgli, które wypadały z wagonów lub węglarek parowozowych. Ten obowiązek dodatkowo zaciążył na mnie. Dziennie przemierzałem kilkanaście kilometrów torami kolejowymi, zbierając do worka znalezione kawałki węgla. W ten sposób dziennie mogłem zbierać nawet 10-15 kilogramów cennego wówczas paliwa – z tego zbioru zanosilem do szkoły około 5 kilogramów.

Później rozszerzyłem swoje możliwości i do każdego jadącego maszynisty wznosiłem prośbę o trochę węgla. Najczęściej robiłem to w okolicach tzw. białych słupków – gdzie tory kolejowe miały duży łuk i każdy maszynista zwalniał bieg lokomotywy. Prawie wszyscy maszyniści wyrzucali 1 lub 2 szufle węgla lub układali w drzwiach lokomotywy duże bryły i spychali nogą.

Starsi koledzy byli już na „wyższym” etapie i najczęściej chodzili na tzw. kitę, czyli wskakiwali na stopnie wagonów z węglem i po prostu zwalali go z wagonów, a później zbierali do worków i sprzedawali, utrzymując nawet z tego swe rodziny.

Mnie w domu tego procederu kategorycznie zabroniono, więc ograniczałem się tylko do proszenia maszynistów.

Jak niebezpieczny był proceder z tzw. kitą, świadczą 3 przypadki kolegów ze szkoły. Jeden z nich – Miecznik stracił nogę, drugi – Pazik został zastrzelony przez kolejowych strażników niemieckich. Trzeci, nazwiska już nie pamiętam, też został zastrzelony.

Na przełomie 1941 i 42 roku zaczęto sypać koło naszej wsi podwyższone nasypy kolejowe na linii z Warszawy do Krakowa. Wagonami towarowymi przywożono zgromadzoną przy lokomotywniach (parowozownie) tzw. szlakę, czyli resztki paliwa węglowego, usuwanego z palenisk remontowanych parowozów.

Wśród wysypywanej szlaki znajdowały się kawałki węgla, koksu a nawet drewna. Miejsca wysypywania szlaki pokryło mrowie ludzi, którzy początkowo grabiami rozgrzebywali zrzucaną szlakę, wybierając z niej cenny opał. Później ulepszono metodę odzysku tegoż paliwa – konstruując przesiewarki do szlaki. Były to ramki drewniane z przybitym do ich dna kawałkiem blach, z otworami, przez które przelatywał popiół i piasek, a zostawały tylko grubsze kawałki węgla, koksu, drewna i żużlu.

Ludzie przesiewający szlakę przypominali wtenczas poszukiwaczy złota, gdyż podobną stosowali technikę pracy (nie było tylko wody). Ja również przez przeszło rok przesiewałem szlakę (w różnych miejscach na torach) i byłem wyróżniony w szkole przez naszego nauczyciela za przyniesiony opał na potrzeby szkoły.

Praca ta była ciężka z uwagi na mój wiek i konieczność przesiania przynajmniej 300 kilogramów szlaki, aby uzyskać 15 kilogramów użytecznego opału.

Na tym nie kończyły się moje obowiązki. Raz w tygodniu od 1942 roku, jeździłem do ciotki Kowalskiej na ul. Wspólną 64, przywożąc jej bańkę mleka. W zamian ciotka gromadziła swoje i sąsiadów obierki z ziemniaków, które zabierałem i przywoziłem do domu. Zużywane były do karmienia krowy i nielegalnie wobec okupanta hodowanej potajemnie świni.

W tymże roku ojciec zakupił parkę królików – które mnie przypadły do karmienia, a w związku z tym też musiałem chodzić po łąkach i wycinać dla nich mlec. Niestety roboty przy królikach nie ubywało, ale przybywało ze względu na ich przyrost. Na swojej głowie wkrótce miałem przeciętnie 8-10 sztuk do wyżywienia i wyczyszczenia ich klatek. Przynajmniej od czasu do czasu było ich mięso do konsumowania, a raz w roku było świnobicie i później smaczne wyroby do jedzenia.

Po zaostreniu przez Niemców kontroli w 1942 roku zrezygnowaliśmy z hodowli świń i dopiero w 1944 znów został kupiony warchlak.

W czasie okupacji kłopoty były nie tylko z mięsem i tłuszczem, obuwiem i ubraniem – ale przede wszystkim z mąką, która codziennie jest potrzebna w kuchni. W 1942 roku, mieszkająca po sąsiedzku, ciotka Wróblewska, namówiła babcię, aby pozwoliła mi jechać z nimi do rodziny jej męża, do Leonowa pod Łowiczem, gdzie u gospodarzy można dostać taniej mąkę. Pojechałem z nimi do tej wsi i następnego dnia przywoziłem do domu 10 kilogramów mąki.

Do Leonowa jeździłem jeszcze 3 czy 4 razy do momentu, aż żandarmi na stacji we Włochach nie zarekwirowali mi mąki.

Później wyprawy po mąkę odbywałem ze starszym kolegą – Tadkiem Szymańskim, który był pasierbem mojego wujka Feliksa Kilena. Ten był obyty z wyprawami po szmugiel i już nigdy nie miałem takiej wpadki, aby żandarmi odebrali mi przewożoną mąkę. Jeździłem z nim wówczas do Bednar pod Łowiczem. Wracając z mąką, Tadek zawsze w Gołąbkach na stacji przed Włochami dowiadywał się od swego kuzyna kolejarza, czy we Włochach są żandarmi i zabierają towar. Jeśli byli, to tuż za mostem pod Włochami, gdzie pociąg zwalniał, wyskakiwaliśmy z wagonów z mąką i polnymi drogami, omijając stację, docieraliśmy do domów z cennym towarem.

Pisząc o sprawach szmuglowanej maki, chciałbym jednocześnie opisać moje wyjazdy do Mogielnicy nad Pilicę, początkowo z ojcem, a później samotnie do tamtejszej nielegalnej masarni, z której przywoziliśmy wędliny. Do Mogielnicy zaczęliśmy jeździć, kiedy nie hodowaliśmy świni. Podróż rozpoczynaliśmy z Dworca Południowego na Służewcu, skąd kursowała tzw. ciuchcia, czyli kolejka wąskotorowa. Przyjazd do Mogielnicy odbywał się wieczorem, przed godziną policyjną. W masarni czekając na wyroby wytworzone w nocy, spaliśmy na znajdujących się tam ławkach. Rano wyjeżdżaliśmy z powrotem do Warszawy, wioząc ze sobą kupione wędliny. Jednakże z uwagi na to, że prawie zawsze na Dworcu Południowym Niemcy robili obławy na ludzi wiozących towary ze wsi, wysiadaliśmy najczęściej na stacji przed wyścigami i polnymi drogami dochodziliśmy do ówczesnej wsi Zbarz, a potem, idąc przez pola uprawne rozciągające się w miejscu dzisiejszej ul. Hynka, dochodziliśmy do wsi Szczęśliwice i do naszego domu.

Po wędliny do Mogielnicy jeździłem później sam, chyba jeszcze trzykrotnie. Muszę też wspomnieć, że w 1943 roku późną wiosną, ojciec polecił mi, abym codziennie około godz. 14 przychodził do dawnej Fabryki Karabinów na ul. Dworską i tam na portierni miałem zabierać od niego 2 puszki zlewek obiadowych (puszki po 5 kilogramów po marmoladzie okupacyjnej).

Zlewki te przynosiłem do domu. Prawdziwą tajemnicę noszenia zlewek rozwiązałem przypadkowo sam na skutek wypadku, który mi się przytrafił przy zejściu ze starej fosy przyfortowej, jaką musiałem pokonać na swej drodze. Było to latem 1943 roku – szalejąca wówczas burza, z dużymi opadami deszczu, rozmiękczyła tak glinianą ścieżkę, że w pewnym momencie poślizgnąłem się i zawartość jednej z puszek, która wypadła mi z ręki, częściowo się wylała. Wówczas odkryłem, że pod zlewkami znajdują się części do zamków karabinowych tj. sprężyny naciągające iglice, pazury wyciągu, elementy muszek i celownika oraz nieznanne przedmioty wytoczone z brązu.

Ojcu nie przyznałem się do tego faktu, znalezione przedmioty na powrót wrzuciłem do puszek, uzupełniając je ubytek wodą.

Zlewki na portiernię fabryczną dostarczał mi ojciec lub jego mistrz pan W. Śliwiński. Od chwili kiedy ojciec się ukrywał, byłem jeszcze chyba czterokrotnie po zlewki, ale już nie zachodziłem po nie na portiernię, lecz do prywatnego mieszkania W. Śliwińskiego (chyba przy ul. Prądyńskiego – bloki przyfabryczne).

Chodząc po zlewki, byłem świadkiem wieszania ludzi na szubienicy, którą okupant zlokalizował vis a vis Zakładów Tlenowych przy ul. Mszczonowskiej, tuż przy przejeździe kolejowym. Żandarmeria

niemiecka zatrzymała wszystkich przechodniów. Mieli oni być świadkami tego bestialskiego mordu – szpaler żandarmów z bronią gotową do strzału stał naprzeciwko zgromadzonych. Wkrótce podjechało ciężarowe auto i żandarmi wyprowadzili z niego skazańców, którzy mieli ręce związane do tyłu. Ustawili ich pod 2 szubienicami następnie kolejno wprowadzali skazańca, stawiając pod nogami skrzynkę, na którą musiał on wejść na komendę dowodzącego. Jeden z żandarmów zakładał skazańcowi stryczek na szyję, następna komenda dotyczyła wykopania skrzynki spod nóg skazańca. Czynność tę wykonywał ten sam żandarm, który zakładał stryczek. Po chwili widać było tylko kołyszące się zwłoki skazańców. Po egzekucji – zezwolono zatrzymanym przechodniom na rozejście się. Następnego dnia, idąc do fabryki po zlewki, widziałem, że skazańcy jeszcze wisieli na szubienicach. Moje wyprawy po zlewki zakończyły się jeszcze 1943 roku – kiedy ojciec, obawiając się aresztowania za spalone urządzenie energetyczne (był elektrykiem), porzucił pracę w Fabryce Karabinów. Pamiętam, że dwukrotnie szukali go Niemcy w domu. Jak wiem, należał do konspiracji AK. Do tej samej grupy na pewno należeli też majster W. Śliwiński, pracownik Ziomek (imienia nie znam) i T. Kołodziejki. Dowódcą grupy był chyba W. Śliwiński, który w przeddzień Powstania Warszawskiego w 1944 roku przyszedł na Budki Szczęśliwickie i rozmawiał z ojcem na osobności. Po zakończeniu jego wizyty zaczął się ruch w domu, płacz. Z półsłówek ojca i macochy zorientowałem się, że następnego dnia ojciec miał zgłosić się na punkt zborny przy fabryce i wziąć udział w Powstaniu.

W Powstaniu ojciec nie wziął udziału, gdyż Niemcy tegoż dnia otoczyli dojsca do Warszawy, a szczególnie kontrolowali przejazdy kolejowe w okolicach Dworca Zachodniego, gdzie wyładowywały się duże transporty ich wojsk, a w tym duże zgrupowanie ciężkiej artylerii. Żandarmi polowi zawrócili ojca do domu. Muszę przerwać ten wątek, aby uzupełnić niektóre fakty.

W 1943 roku wojska niemieckie – zajęły budynek naszej szkoły. Jednak nauka nie została przerwana. Upór kierownika szkoły – pana Nowakowskiego sprawił, że uczyliśmy się w prywatnych mieszkaniach u wielu osób we Włochach. Dla naszej klasy użyczyli mieszkania państwo Czechowie, Pawliccy i Rokitowie. Każdego dnia kolejny uczeń lub uczennica spełniali rolę woźnej, a więc sprząтали salę, palili w piecu przyniesionym z domu węglem, zamykali pomieszczenia i oddawali klucz właścicielce. Musieli też utrzymać czystość w pomieszczeniach WC.

Oczywiście zajęcia odbywały się w różnych godzinach ze względu na korzystanie z sal uczniów różnych klas. Stale pogarszały się warunki bytowe uczniów i ich rodziców, coraz trudniej było z aprowizacją. W lecie, po sprzątnięciu zbiorów pszenicy i żyta przez gospodarzy, często chodziliśmy z siostrą po polach i zbieraliśmy leżące tam kłosa, z których później po wyłuskaniu ziaren i zmieleniu na ręcznych młynkach – otrzymywało się mąkę, używana do wypieku własnego chleba lub innych potraw.

W domu nie dostawaliśmy żadnych pieniędzy, aby można było sobie kupić jakieś słodycze. Pieniądze trzeba było zarobić. Jedną z form zarobienia pieniędzy było zbieranie ziół, głównie rumianku, który cieszył się dużym wzięciem u farmaceutów.

Okupacja dała się też we znaki brakiem obuwia – całą okupację chodziło się w lecie najczęściej boso lub w drewniakach, których nie formowane spody przyczyniały się do płaskostopia oraz przedwczesnych odcisków i mozeli. O wiele cięższe było życie młodzieży żydowskiej zamkniętej w murach getta. Pamiętam scenę, jaka miała miejsce u nas w domu pod koniec lata 1942 roku. Wówczas od strony zabudowań państwa Głowackich i Kolasińskich zbliżało się dwoje dzieci w wieku 5-7 lat, ubranych bardzo miernie. Na ich plecach wisiały worki zawiązane na sznurkach. Zbliżały się do naszego pola, wrywały rosnącą tam marchew i szybko ją zjadały. Wyszła do nich babcia i przyprowadziła je do mieszkania. Były głodne. W ich workach znajdowało się parę ziemniaków i marchwi. Babcia posadziła dzieci na ławce przed domem, ukroiła po dużej pajdzie chleba, który posmarowała zbraną z mleka śmietaną i posypała cukrem, nalewając im po garnuszku mleka. Chleb i mleko zostały zjedzone prawie natychmiast, więc zaproponowała im, aby poczekały parę minut, to dostaną jeszcze do zjedzenia trochę zupy. Dzieci odpowiedziały, że jeszcze muszą coś zebrać na polach oraz prosić o chleb we wsi, gdyż w ich domu pozostali głodni rodzice, dziadkowie oraz młodsze rodzeństwo. Babcia powiedziała, że ziemniaki dostaną od niej, również marchew i trochę cebuli oraz jabłka. Chleba nie było dużo, ale to, co zostało z odkrojonego bochenka, oddała im. Nalała im też do butelki po oranżadzie mleko, które ze sobą zabrały. Na odchodne powiedziała im, że jeśli będą głodne, mogą do niej przyjść następnym razem. Rzeczywiście pokazały się znów po 3 tygodniach – zostały nakarmione i otrzymały do worków trochę ziemniaków, kapusty, marchewki i owoców oraz po kawałku chleba. Za trzecim razem pojawił się tylko chłopiec – pytany przez babcie, co stało się z siostrą, płacząc powiedział, że zastrzelili ją Niemcy, gdy przekraczała dziurę w murze. Więcej się już ten chłopiec nie pojawił. Parę miesięcy później byłem świadkiem zagłady ludności żydowskiej w getcie warszawskim. Było to tuż przed Świętami Wielkanocnymi – ojciec posłał mnie do wujka Stanisława Ptaszka, od którego miałem zabrać jakieś produkty żywnościowe. Mieszkał wówczas na ul. Pańskiej. Z okien ich pięciopiętrowej kamienicy oglądałem sceny niszczenia ludzi i budynków w getcie. Innym razem, wracając z ul. Miedzianej, gdzie zaniósłem do warsztatu ślusarskiego pan Raka drewniany szkielec wózka dziecięcego, który pan Rak uzupełniał okuciami metalowymi, widziałem scenę rozstrzeliwania zakładników na ul. Towarowej vis

a vis dawnego dworca PKP. Żandarmi podjechali wówczas pod mur budą, zatrzymali ruch uliczny na ul. Towarowej od Placu Zawiszy do Srebrnej. Wyprowadzili grupę ludzi z zakneblowanymi ustami. Skazańców ustawiono pod murem i na komendę dowodzącego oddano salwę do skazańców. Po chwili widać było osuwające się zwłoki ludzkie. Dowodzący egzekucją z pistoletu dobijał jeszcze ofiary. Po załadowaniu zwłok do budy – wznowiono ruch na ul. Towarowej, skąd szybko się ulotniłem do przystanku kolejki EKD. Po powrocie już nie jadłem kolacji.

Tymczasem w domu było coraz gorzej. Nie pracujący i ukrywający się ojciec nie otrzymywał pieniędzy, a za coś trzeba było żyć. Ojciec wziął się za handel zieleniną, którą nietrudno było zdobyć z uwagi na blisko położone duże gospodarstwa tzw. badylarskie. Gospodarstwa usytuowane w pobliżu stolicy utrzymywały wyższe ceny za swe produkty niż w bardziej oddalonych miejscowościach. Dlatego też ojciec nie kupował u najbliższych gospodarzy, a wędrował po towar do gospodarzy w rejon Karolina, Górcy, Gołębek – do tej pracy zostałem i ja przymusowo wciągnięty przez ojca.

Była to praca uciążliwa, ponieważ za niektóre artykuły jak szczaw, szpinak, koperek, rzodkiewki, młodą cebulę i marchew oraz inne warzywa, jak młoda fasolka, zielony groch, bób, szczypiorek, natkę z pietruszki, gospodarze taniej liczyli, jeśli nabywca sam dokonał ich zbioru. Ręczne rwanie zajmowało dość dużo czasu, a niezależnie od bolących rąk, bolał kręgosłup od ciągle pochylonej pozycji. Te prace wykonywałem ja, ponieważ niedowidzący ojciec nie mógł tego robić. Gospodarz wiązał na pęczki wyrwane przeze mnie cebule, rzodkiewki, koper, szczypiorek, młodą marchew i takie sprzedawał.

Najlepsza sytuacja była, gdy gospodarz nie wiązał pęczków u siebie, a sprzedawał określone ilości odliczonych na przykład cebul, marchewek, wchodzących do pęczka. Zabieraliśmy je luzem do worka i w naszym domu wiąźaliśmy pęczki. Wtedy były one przez nas pomniejszane o 1-2 cebule czy marchwie i to stanowiło dodatkowy zarobek, gdyż zwiększała się ilość pęczków. Pęczki, powiązane przez gospodarza, były w domu rozwiązywane i powtórnie wiązane przez ojca (pomniejszone objętościowo) z tego też pochodziły zyski. Praca przy przewiązywaniu zieleniny trwała na ogół do północy, później 3-4 godziny snu i o 5 rano wychodziliśmy z workami na plecach na tzw. zieleniak, który mieścił się przy ul. Grójeckiej u zbiegu z ul. Opaczewską – czyli do przejścia z ładunkiem miałem przeszło 5 kilometrów. Tam zostawiałem ojca z towarem, a sam śpieszyłem do domu, gdyż musiałem iść jeszcze do szkoły. To była praca ponad moje siły. Przecież byłem dzieckiem 12-letnim. Dobrze, że ten proceder handlu zieleniną trwał tylko jeden sezon.

Nadszedł rok 1944. Wakacje zaczęły się przy bardzo ładnej pogodzie. Te wakacje bardzo gorące były nie tylko w aurze, ale i w wydarzeniach. Pamiętam, że 21 lub 22 lipca 1944 pojechałem kolejką EKD do ciotki Kowalskiej na ul. Wspólną 64. Odebrałem uskładane obierki i po krótkim odpoczynku udałem się na peron kolejki EKD. Do wagonów nie wpuszczano Polaków – lecz tylko zgromadzonych folksdojczów i Niemców, którzy wsiadali z dużymi bagażami do przedziału. Widziałem ich wystraszone oczy i niepokój rysujący się na twarzach. Nie wiedziałem, co się dzieje. Powtórnie jechałem za 2 dni wraz z Tadekiem Szymańskim. Odwoziliśmy wtenczas obudowy wózków dziecięcych, które wykonał wujek Felek dla pana Raka – dla dalszej ich obróbki. Wysiedliśmy przy Placu Starynkiewicza i szliśmy z drewnianymi pudłami wózków w kierunku ul. Miedzianej (gdzie mieścił się warsztat pana Raka). Dochodząc do krzyżówki ulicy Żelaznej z Al. Jerozolimskimi – nie mogliśmy jej przekroczyć. Od strony praskiej Al. Jerozolimskimi sznurem ciągnęły na przemian wozy konne i ciężarówki wyładowane po brzegi rannymi niemieckimi żołnierzami. Ich obandażowane twarze, ręce, nogi i inne części ciała wskazywały, że uczestniczyli niedawno w krwawej walce. Nie widać było na tych twarzach oznak radości, a tylko przerażenie.

Po zakrwawionych bandażach można było wnioskować, że ich podróż trwa już dłuższy czas, że cierpią i uciekają. Dawno nie oglądała ludność Warszawy takiego widowiska. Wzdłuż Al. Jerozolimskich i ul. Żelaznej ciągle przybywało gapiów. Na ich twarzach widać było radość, że jest nadzieja, że panowanie niedawnych zwycięzców zmierza ku końcowi. Nikt z tych gapiów chyba nawet nie domyślał się, że nim zawita prawdziwa wolność, wcześniej muszą przeżyć swe Termopile – pod gruzami znajdzie śmierć ponad 250000 osób, a 80% zabudowy legnie w gruzach.

Po odstawieniu wózków pan Rakowi wracaliśmy kolejką EKD do domu. Na stacji Warszawa Zachodnia kolejka została zatrzymana, bowiem z kolejki do Warszawy wyładowywali się z dużymi bagażami włochowscy i okoliczni folksdojczowie. Poznałem ich twarze (rodzin Karwizów, Stahlów). Pomaszzerowali w kierunku bliskiego zachodniego Dworca Kolejowego – a więc i oni uciekali.

W pewnej chwili Tadek zawołał mnie i pokazał gromadę ludzi, która wynosiła worki z cukrem, puszki z marmoladą i wyroby cukiernicze z pobliskiej fabryki wyrobów cukierniczych Plutosa. Od kolejki EKD do fabryki oddzielało nas duże pole z rosnącymi na nim ziemniakami, kilkanaście drzew i rosnące w pobliżu fabryki krzaki. Niestety my już nie doszliśmy do tych słodczy. W połowie drogi usłyszeliśmy serie z broni maszynowej i pojedyncze wystrzały karabinowe. Zobaczyliśmy zaraz rozszalały tłum ludzi wybiegający z czeluści bramy fabrycznej i rozbiegający się we wszystkich kierunkach i żandarmów niemieckich strzelających do tych ludzi. W głębi ulicy jechała na włączonej syrenie buda z dalszymi posiłkami niemieckimi od strony Placu Narutowicza. Szybko zawróciliśmy w kierunku stacji

kolejki, gdyż i koło nas groźnie zaczęły bzykać kule – biegliśmy pochyleni przez redliny ziemniaków i wkrótce skryliśmy się w wagonie kolejki. Żandarmi jeszcze długo strzelali. Wokół fabryki, od strony widocznej z okien wagonu kolejki, leżały porzucone worki z mąką, cukrem i puszki z marmoladą, a wśród nich leżały postacie ludzkie, wówczas nie można było stwierdzić, czy są to osoby zabite, czy położyli się, aby nie zginąć.

Tak przysł mił, że już Niemcy są niegroźni, ich przedwczorajsza parada rannych rozbitków w Al. Jerozolimskich nie dowodziła, że będą patrzeć przez palce na akty zagrażające ich bezpieczeństwu. Jeszcze udowadniali, że oni tu panują i sięją śmierć i zniszczenie. Ludzie, którzy weszli do tej fabryki, chyba nie wiedzieli, że cały kompleks domów akademickich przy Placu Narutowicza zajmuje żandarmeria niemiecka i że w ostatnich dniach wzmocnili wokół nich swe umocnienia, stawiając dodatkowe kozły żelazne i nowe zasieki z drutu kolczastego.

Następnego dnia, jadąc znów kolejką EKD do ciotki na Wspólną, dojeżdżając do przystanku Warszawa Zachodnia, śledziłem co się dzieje wokół fabryki Plutosa. Najpierw dojrzałem wartowników niemieckich, strzegących budynku fabrycznego. Na kartoflisku, przez które uciekałem, leżały jeszcze nie uprzątnięte puszki marmolady oraz worki z cukrem i mąką.

O tym zdarzeniu opowiedziałem wujkowi Frankowi, któremu dostarczyłem przywiezione z domu jarzyny i tradycyjnie mleko. Wujek Franek mówił zaś, że Niemcy zaczęli też wzmacniać umocnienia w Al. Ujazdowskich, budując nowe bunkry i zasieki.

Tegoż dnia, idąc od wujostwa do peronów kolejki EKD na Nowogrodzkiej, poszedłem na chwilę w Al. Jerozolimskie. Niestety, już nie było widać ciągnących od strony praskiej pojazdów z uciekającymi Niemcami. Wprost przeciwnie, w stronę Pragi przesuwali się liczne pojazdy samochodowe z wojskiem, w tym i pojazdy pancerne. Wśród nielicznych gapiów widać było zaniepokojenie. W tym dniu widziałem też zwiększony ruch młodych ludzi, często ubranych w modne wówczas (mimo lata) buty oficerskie i bryczesy.

Wróciłem do domu. To był mój ostatni pobyt w Warszawie przed wybuchem Powstania – dobrze, że zachowały się w mojej wyobraźni te ostatnie widoki nie zniszczonej, jakże pięknej Warszawy, jej ciągle śpieszących się gdzieś ludzi, folklor targowisk (Kercelaka, Zieleniaka, Miedzianej i Wroniej – te jako dziecko znalazłem dość dobrze). W przededniu Powstania Warszawskiego przeżyłem ogromny nalot lotnictwa radzieckiego na niemieckie paliwowe bazy, zlokalizowane przy torach kolejowych Warszawa Czyste tzw. Karpaty i torach kolei radomskiej tzw. Polmina.

W nocy zrobiło się jasno od świecących flar, opadających na spadochronach. Niemieckie reflektory rozświetlały niebo i słychać było świdrujący w uszach świst spadających bomb i pękających cystern paliwa, huk strzelających dział przeciwlotniczych i rozrywających się w górze pocisków – zapalone zbiorniki paliwa przypominały piekło. Bombardowanie trwało niezbyt długo. U nas, na wsi zrobiło się gorąco od palących się produktów naftowych (nasza miejscowość leżała pomiędzy tymi składami). Niemcy zarządzili w tym czasie tzw. roboty przymusowe, związane z kopaniem rowów strzeleckich, przeciwczołgowych i innych stanowisk bojowych.

Odpowiednie zarządzenie w tej sprawie wydał ówczesny wójt gminy Okęcie pan Pawłowski, a potem przekazał je do mieszkańców wsi Budki Szczęśliwickie sołtys – pan Aleksander Stolarski, zaznaczając, że z każdego domu do tych prac winna zgłosić się jedna osoba. Ponieważ ojciec się ukrywał i obawiał się pułapki ze strony Niemców, a babcia miała na głowie główne utrzymanie nas, jedyną osobą do tej pracy mogłem być ja. Mimo, że byłem niepełnoletni, to na swój wiek byłem dość rośli i krępej budowy, tak, że zarówno ojciec, jak i babcia nie widzieli innego rozwiązania i na listę sołtysa podano mnie.

Podobnie postąpili inni mieszkańcy. Za wujka Felka wpisany został mój starszy kolega – Tadek Szymański, za rodzinę Łepaków wpisany był Zdzisiek Łepak.

Niemcy wyznaczili sołtysowi miejsce zbiórki ludności w okolicy starej fosy fortu Szczęśliwickiego koło zabudowań państwa Kartosiewiczów. Tam pod nadzorem niemieckim kopaliśmy rów przeciwczołgowy na długości całej fosy. Po całodziennych pracach zostaliśmy zwolnieni do domów.

Wybuchło Powstanie Warszawskie. Przez pierwsze 2 lub 3 dni Niemcy nie podejmowali prac ziemnych w zakresie budowy fortyfikacji. Jednakże, chyba po 3 dniach – znów zrobiono zbiórkę i wyznaczono nam zadania. Kopaliśmy teraz rowy strzeleckie i łącznikowe na uprawnych polach panów Dyry, Bieńkowskiego, Styczka i na niektórych działkach (Kurowskich, Sucharskich, Barszczewskich) we wsi Budki Szczęśliwickie, które dochodziły do zabudowań ulic we Włochach (ul. Jakubowskiego, Staromiejskiej).

Do wsi Szczęśliwice ściągały i kwaterowały duże jednostki wojskowe armii niemieckiej – prawie wszystkie gospodarstwa zostały zajęte na kwatery. Przybyło dużo artylerii przeciwlotniczej, która rozlokowała się na szczycie fortu i w pobliżu dawnego mostu kolejowego linii radomsko-krakowskiej, a najwięcej w pobliżu dworca kolejowego Warszawa Zachodnia.

Na Bateryjce i w jej okolicy rozkwaterowała i okopała się duża jednostka ciężkiej artylerii daleko-siędznej – wojska niemieckie zajęły wszystkie budynki przy ul. Włochowskiej, Kołomyjskiej, wysiedlając tamtejszych gospodarzy i mieszkańców.

Do Włoch przybyły również duże zgrupowania wojsk niemieckich – zostały zajęte przez nich wszystkie budynki szkolne, w tym i nasza szkoła. Cały włosowski park zajęły tabory armii Własowa i brygady Kamińskiego. Zachowywali się jak dzicz, zdobywając sławę głównie z gwałtów i kradzieży.

Nagromadzenie sił niemieckich wokół Warszawy i w pobliskich jej okolicach (Włochy, Ursus, Pruszków, Okęcie) powodowało coraz częstsze kontrole wśród mieszkańców, co nie gwarantowało osobistego bezpieczeństwa, tak sądzili niektórzy, a wśród nich był i mój ojciec.

W dniu 8 sierpnia 1944 roku, wraz z trzecią moją Macochą Malwiną i dwójką jej dzieci oraz moją siostrą – opuścili dom na Budkach Szczęśliwickich, udając się na tzw. „rajzę” w bezpieczne okolice. Parę dni mieszkali w Tworkach k/Pruszkowa u naszego kuzyna, który pracował tam w Szpitalu Psychiatrycznym. Następnie wyjechali na wieś w okolice Grodziska Mazowieckiego, gdzie przebywali u jakiegoś dalekiego krewnego szwagra mojego ojca. Nie pamiętam już nazwy wsi, choć tam byłem dwukrotnie w odwiedzinach. Wieś leżała za Grodziskiem w kierunku Jaktorowa.

Na okopy Niemcy na razie nas nie brali. Życie toczyło się niby normalnie, lecz w naszej osadzie inna była jego treść. Słyszeliśmy dochodzące od strony Woli, Ochoty odgłosy walki Powstańców, a przeciw nim nieustanną kanonadę armat niemieckich, tzw. ryczących krów, czyli wyrzutni pocisków rakietowych i ciągle regularne z dokładnością zegarka co 15 minut startujące z lotniska Okęcie eskadry sztukasów bombardujących powstańcze pozycje i ludność cywilną. Samoloty latały zupełnie bezkarnie – tuż nad dachami domów, dokładnie widać było nawet odrywające się bomby spod ich kadłubów.

Codziennie rano z kolegami (Tadkiem, Zdzichem i Stasiem) chodziliśmy na działkę Zdzicha i patrzyliśmy z niej na gmach tzw. drapacza chmur (Prudentialu), na którym powiewała dumnie flaga niepodległej Polski. Tylko z tej działki można ją było widzieć, gdyż w najbliższej perspektywie nie było żadnych zasłaniających drzew ani budynków oraz nie było tu już nasypu kolejowego. Powiewała tak chyba do końca Powstania.

Z chwilą wybuchu walk powstańczych przestała kursować kolejka EKD, tak bardzo związana z historią najnowszej Warszawy i jej najbliższych okolic.

Znaleźliśmy się w prawdziwym kotle. Z Woli, objętej powstańczymi walkami, od czasu do czasu udało się komuś przedrzeć przez linię wroga i dotrzeć do naszej osady, poprzez okalające pola i zarośla oraz nieczynną wagonownię szczęśliwicką. W taki sposób dotarła nie znana mi bliżej kobieta z Woli, którą babcia nakarmiła. Przespała się ona u nas na wolnym łóżku siostry. Pamiętam jej straszliwe opowieści, które nie mieściły się mi zupełnie w głowie, dotyczyły rozstrzeliwania niewinnych osób. Mówiła wówczas o rozstrzeliwaniu w kościele św. Wojciecha, o setkach cywilów, w tym starców, dzieci i niemowląt, o podobnej kaźni, w fabryce papieru na ul. Wolskiej u Franaszka, o wyrzucaniu złotych zębów z ust, obcinaniu palców, gdy złota obrączka lub pierścionek nie chciały zejść z palca, o gwałceniu na oczach mężów żon, córek na oczach rodziców. Były to sceny wprost nie do uwierzenia. Dokonywali tego głównie żołnierze armii Własowa i Kamińskiego.

Najprzyjemniejsze, przynajmniej dla mnie, wspomnienia okupacyjne pozostawili żołnierze węgierscy, stacjonujący w okolicach Włoch. Odróżniali się oni od żołnierzy niemieckich mundurami, a przede wszystkim od własowców tym, że przymykali oczy „nie widząc” uciekinierów, którzy zdołali wyrwać się z Woli czy Ochoty. Często w swymi przydziałami aprowizacyjnymi ludzi i nas, dzieci. Właśnie od Węgrów otrzymałem cukierki, kawałek czekolady, duży kawałek węgierskiej paprykowanej kielbasy, a przede wszystkim chleb, którego nie mieliśmy.

Wyróżniali się jeszcze i tym, że niedbale pełnili służbę, nie bardzo interesując się bronią, która była łatwa do zabrania.

Trwające Powstanie uniemożliwiło zaopatrywanie się w warszawskim browarze w poprodukcyjne wysłodki jęczmienne, służące do karmienia krowy. Hodowcy dość szybko przestawili się na używanie w miejsce ich zużytego przy produkcji bimbru tyłu. zacieru, który pochodził z grubo mielonego ziarna żyta. Bimbrownicy sprzedawali go, ale trzeba było zabierać w beczkach i wozic taczkami. Ta czynność spadła na mnie, 3 razy w tygodniu wozilem zacier z bimbrowni, znajdujących się na ul. Jakubowskiej we Włochach chyba do samego wyzwolenia. Tymczasem Niemcy zaczęli palić zabudowania, znajdujące się po drugiej stronie torów kolejowych linii radomskiej (granica ówczesna miasta Warszawy dochodziła do torów kolei radomskiej). Najpierw spalono ocalałe domy w okolicach Dworca Zachodniego PKP, na Batoryjce, ul. Pomnikowej, Mszczonowskiej i gospodarstwa znajdujące się przy ul. Włoszowskiej, później domy na Kołomyjskiej. Ludność zamieszkała w naszej wsi wpadła w panikę, bo rozeszła się informacja, że będą też palone nasze domy – panika dosięgła także moja babcie – zaczęła pakować pierzyny i kołdry i inne drobne przedmioty w płachtę, po czym szybko pobiegła do państwa Cyranowiczów, mieszkających we Włochach przy ul. Jakubowskiej – uzyskała ich zgodę na przeniesienie tych rzeczy do ich domu i przeprowadzenie krowy. Wspólnie z babcią kilkakrotnie robiliśmy kursy tam i z powrotem, przenosząc na plecach do państwa Cyranowiczów nasz dobytek, później babcia zaprowadziła krowę, wiążąc ją w ogrodzie u tych państwa. Pomimo, że przenieśliśmy tam najważniejsze przedmioty, noc przespaliśmy we własnym domu – babcia chodziła tylko przez 3 dni do państwa Cyranowiczów – aby nakarmić i wydoić krowę.

W ciągu tych 3 dni Niemcy podpalili jeszcze stojące przy torach kamienice tzw. Fideljusa, obejścia państwa Kartasiewiczów i Wnorowskich i dom byłego sołtysa pana Malickiego. Ludność tych domów uciekła z niewielkimi tobołkami w kierunku wsi Salomeą, Opacz i Włochy, pozostawiając dobytek swego życia, który został spalony. Mieszkańcami ul. Włochowskiej czy Mszczonowskiej byli bogaci ludzie, gdyż mieli oni gospodarstwa przeważnie ogrodnicze. W tym czasie jeszcze z pól nie zebrano warzyw, ziemniaków, kapusty, selerów i innych – to wszystko musieli zostawić. Pamiętam jak dziś, że w okolicach dzisiejszego parku wypoczynkowego w Szczęśliwicach było duże gospodarstwo warzywnicze, wyposażone w olbrzymią szklarnię, a na polu . była ogromna plantacja dojrzałych już pomidorów. Jako dzieci chodziliśmy tam na pomidory (po wyrzuceniu mieszkańców i spaleniu ich domów).

Po trzech dniach wróciliśmy do swego domu, przynosząc uprzednio wyniesiony dobytek od państwa Cyranowiczów.

Pisałem już o podjętych przez Niemców pracach wzmacniających system obrony przeciwlotniczej wokół Dworca Zachodniego. Coraz częściej działka przeciwlotnicze zakłócały nocny spoczynek, a reflektory przeszukiwały niebo. W połowie sierpnia 1944 roku zajądło zaczęły strzelać wszystkie armaty przeciwlotnicze – bowiem w tym dniu przelatywały samoloty alianckie z Zachodu z pomocą dla walczącej Warszawy. W tym huraganowym ogniu został trafiony jeden z brytyjskich Liberatorów i spadł na pole orne niedaleko ul. Mszczonowskiej. Dzisiaj jest tam usytuowana stacja diagnostyczna i salon samochodowy pana Kiljańczyka i obok buduje się przedsiębiorstwo Bayera.

Widziałem samolot rozbijający się o ziemię, biegnących w kierunku rozbitej maszyny Niemców z miejsc, gdzie stały ich baterie dział – nie widziałem jednak żadnego spadającego na spadochronie człowieka. Wszyscy zginęli.

Chciałbym tu sprostować, że kamień, upamiętniający to tragiczne wydarzenie nie powinien być tam, gdzie jest obecnie (rondo przy Dworcu Zachodnim), bo tam nie spadł samolot – a winien być przeniesiony obok pomieszczeń salonu samochodowego, bowiem napis na kamieniu w obecnej sytuacji głosi nieprawdę, stwierdzając „w tym miejscu w dniu 15 sierpnia 1944 zginęła śmiercią lotnika załoga Liberatora Ew 264 z 178 Dywizjonu Bombowego Brytyjskich Sił Powietrznych – niosąc pomoc powstańczej Warszawie”.

Coraz więcej groźnych wiadomości przedostawało się od nielicznych osób, które w drugiej połowie sierpnia w niewiadomy sposób wydostały się z warszawskiego piekła. Pamiętam taką rozmowę pani Kołakowskiej z babcią. Przez 3 dni i noce wędrowała do pani Kołakowskiej jej kuzynka, ukrywając się na okolicznych łąkach i polach uprawnych w zagonach ziemniaków i kapusty. Opowiadała o tragedii ludzi, zapędzonych przez zbirów Własowa, na tzw. Zieleniaku (dzisiejsza hala Banacha). Rozgrywały się tam dantejskie sceny, podobnie jak na Woli, gwałty, rabowanie kosztowności i rozstrzeliwanie ofiar pod murem zieleniaka lub na podwórkach domów, które podpalano.

Coraz częściej w nocy budził nas huk artylerii niemieckiej, strzelającej z działek przeciwlotniczych do samolotów alianckich lecących do Warszawy.

Wreszcie nadszedł moment, że w biały dzień, w godzinach południowych, niemieckie armaty przeciwlotnicze otworzyły szalony ogień – wybiegliśmy z domu, gdyż obok huku dział narastał też szum silników lotniczych. Zobaczyliśmy wówczas niesamowity widok, jak od strony Włoch nadlatywały olbrzymie samoloty w szyku prawie zwartym, nawet na niezbyt dużej wysokości. Łatwo było rozpoznać na skrzydłach i kadłubach ich znaki przynależności, a były to białe gwiazdy lotnictwa amerykańskiego i kolorowe – lotnictwa brytyjskiego.

W okolicach fabryki E. Ortweina wyrzucono pierwsze spadochrony, mające białe czasze, które powoli spływały do ziemi. Dwa z nich spadły niedaleko od nas, na działce pani Łepakowej.

Zauważyłem trafienie jednej maszyny, która już się paliła i zaczęła schodzić coraz bardziej do ziemi w kierunku kościoła Św. Wawrzyńca na Woli. Tam spadła na ziemię. Samolotów naliczyłem około 50.

Na wysokości Dworca Zachodniego zaczęto zrzucać dalsze ładunki, lecz zauważyłem też, że spadochrony tam zrzucone były różnokolorowe. Utkwił mi też w pamięci taki szczegół. Pod semaforem kolejowym stał transport żołnierzy niemieckich, którzy, widząc tę nawałę lotniczą, w popłochu opuszczali wagony i kryli się na łąkach przytorowych. Samoloty jednak nie zawracały po dokonaniu zrzutów i leciały dalej na wschód. Zaczęło się wkrótce „polowanie” Niemców na leżące pojemniki i spadochrony. Do naszej wsi, Budki Szczęśliwickie, na motocyklu z koszem przyjechała niemiecka żandarmeria polowa z charakterystycznymi blachami na piersiach – zatrzymała motocykl na wysokości zabudowań pani Grochowskiej i Ciarków. Jeden z żandarmów skierował umocowany na przyczepie lekki karabin maszynowy na leżący na działce państwa Łepaków pojemnik, zaś dwóch pozostałych z automatami w rękach w pochylonej postawie bojowej zbliżyło się do niego z dwóch stron. Na ich okrzyk „Hondę hoch!” nikt nie odpowiedział i nie wykonał tego rozkazu. Niemcy doszli do pojemnika, podnosząc go do góry i odpięli zaczepy. Pojemnik zawierał zwykły piasek, który wysypał się na pole – zabrali więc tylko czaszę spadochronu i odjechali. Były to chyba pojemniki próbne, bo po cóż by była ta „zabawa” z piaskiem w pojemniku. Nie wiem, ile samolotów zdołało przekroczyć linię Wisły na wschód. Naliczyłem wówczas, może niedokładnie, że 5 maszyn otrzymało jakieś trafienia w silniki, gdyż świadczył o tym

ciągnący się za niektórymi czarny dym. Była to największa operacja zrzutowa dla Warszawy, jaką zapamiętałem.

Był już wrzesień – nasza szkoła nadal zamknięta. Trwały naloty niemieckich sztukasów z lotniska Okęcie. Na Warszawę z regularnością 15-30 minut spadały śmiertelne ładunki, zaś z okolic toru kolejowego na Okęciu – największe działo kolejowe, tzw. gruba Berta, ostrzeliwało też regularnie różne cele w mieście. Pociski tego działa wcale nie są mniejsze od bomb lotniczych. W pogodny dzień, widać było nawet tor lotu takiego pocisku. Mieszkający na ul. Jakubowskiej kolejarz pan Cyranowicz opowiadał straszne historie o ludziach z Warszawy, których z zajętych dzielnic Niemcy zaczęli wysyłać wagonami towarowymi do Pruszkowa. Niektóre osoby były opuchnięte z głodu, bez bagażu, gdyż zabrali im go konwojujący własowcy.

W połowie września zza Wisły słychać było coraz bliższą kanonadę artyleryjską. Pan Cyranowicz opowiadał nam, że Rosjanie są już na Pradze. Przekonaliśmy się o tym sami, gdyż wkrótce na baterię niemieckich dział, stojących na fosie fortowej, spadło kilkanaście pocisków, a jeden z nich rozerwał się na sąsiadującej z nami działce wujka Wróblewskiego. Dalszym widocznym faktem było ostrzelanie, bezkarnie dotychczas latających, niemieckich sztukasów bombardujących Warszawę.

Niemcy zaczęli niszczyć pasy startowe na lotnisku Okęcie. Miasto było przez nich jeszcze bombardowane, ale sztukaszy teraz wykonywały jeden lub dwa naloty dziennie. Lecąc gdzieś z kierunku Sochaczewa – częstokroć nie dolatywały nad cel, gdyż artyleria z Pragi stawiała zaporę ogniową. Włączyło się też do ich zwalczania lotnictwo myśliwskie Rosjan, które coraz częściej przelatywało nad pozycjami niemieckimi zgrupowanymi wokół Dworca Zachodniego, Baterijki, fortu Szczęśliwickiego i Włoch. Wówczas to zobaczyłem po raz pierwszy rosyjskie samoloty myśliwskie z czerwoną gwiazdą, kiedy zaatakowały transport niemiecki, zdążający po torach z kierunku Żyrardowa do Dworca Zachodniego. Załadowany był czołgami i artylerią. Był on na wysokości zakładów Mechanicznych E. Ortweina we Włochach, kiedy para myśliwców rosyjskich, znizywszy się, oddała serię z działek pokładowych w lokomotywę – przestrzeliwując jej kocioł, z którego ze świstem uchodziła para. Para myśliwców po oddaniu tych strzałów zrobiła nawrót i lecąc wzdłuż całego składu, oddała serię z broni maszynowej, wzbila się następnie w górę i odleciała na wschód.

Coraz częściej w nocy artyleria niemiecka strzelała i rozświetlała niebo reflektorami, chociaż warkotu samolotów nie było słychać. Powodem były rosyjskie tzw. kukuruźniki, które mogły część lotu odbywać przy wyłączonych silnikach – jako chłopcy daliśmy im nazwę „parkotni”.

Szkoła nadal była zajęta przez Niemców. Uruchomiono częściowo naukę w prywatnych mieszkaniach (u państwa Czechów i Pawlickich). Trwała ona właściwie dorywczo z uwagi na przyfrontowe warunki. Nasz wychowawca pan Franciszek Maguza – najczęściej robił wprowadzenie i kazał uczyć się w domu, spotykając się z nami od czasu do czasu również w swoim mieszkaniu.

W końcu września pojechałem do rodziny, ukrywającej się na wsi pod Grodziskiem Mazowieckim. Ojciec i macocha pakowali się, my z siostrą poszliśmy pod Jaktorów do prywatnej piekarni, aby zaopatrzyć się w chleb. Idąc skrajem szosy, byliśmy świadkami wzmożonego ruchu samochodów ciężarowych i pojazdów opancerzonych. Tak doszliśmy do piekarni, gdzie musieliśmy czekać na dopiekający się chleb. Czekając cały czas słyszeliśmy dochodzące do nas niedalekie odgłosy toczącej się walki. Strzały armatnie przeplatały się z seriami broni maszynowej i pojedynczymi strzałami z lasów jaktorowskich. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Dopiero wybiegająca roztrzęsiona kobieta zaczęła opowiadać, że Niemcy mordują partyzantów, których zaskoczyli na torach kolejowych, gdy ci szli z pomocą do Warszawy lub z Warszawy, już nie pamiętam.

Po tym wydarzeniu byłem jeszcze kilkakrotnie w Jaktorowie, kupując tam chleb, który przywoziłem na Budki Szczęśliwickie. W tych wyprawach towarzyszył mi Tadek Szymański.

Był październik 1944 roku Warszawa kapitulowała po raz drugi w mej pamięci, raz w 1939 roku teraz po słumionym Powstaniu. Jakże zbiegły się daty i miejsca, gdzie przeżyłem te kapitulacje. Dworzec Zachodni stał się etapem w dalszej nędznej wędrówce wysiedlonych mieszkańców Warszawy. Stąd nieprzerwanie szły ich transporty do pobliskiego Pruszkowa, do tzw. obozu Dulag 121, który znajdował się w tamtejszych Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. Dzień i noc kursowały pociągi pomiędzy Warszawą Zachodnią a Pruszkowem. Tak było w okresie „szczytów”, po kapitulacji większych enklaw powstańczych w Warszawie.

Załadunek, jak opowiadał pan Cyranowicz, na Dworcu Zachodnim trwał 10 minut, jazda do Pruszkowa 20 minut, rozładunek 10 minut, powrót pociągu 20 minut – czyli jeden kurs trwał 60 minut. W godzinę ładunek „żywego towaru”, obóz i dalej i jeszcze i jeszcze. Warszawa nie umarła – szła na wygnanie, którego pierwszym etapem był Pruszków. Podwarszawskie Włochy stanowiły w tym okresie główny węzeł komunikacyjny pomiędzy Warszawą a Pruszkowem. Tędy jechały transporty kolejowe, tędy szły kolumny piesze. Jedynie transporty kolejką EKD omijały tę miejscowość, ale za to nie mniejsze tłumy ciągnęły wzdłuż jej torów do Opaczy – skąd też jechały do Pruszkowa.

Niebagatelny udział w niesieniu pomocy wywozonym mają mieszkańcy wsi Budki Szczęśliwickie, Szczęśliwie, Salomei, Rakowa, Opaczy, Ursusa, Tworek, jednakże mieszkańcy Włoch mieli chyba naj-

większy. W czasie transportu pomagali na różne sposoby, tu jako pierwszy powstał Społeczny Komitet Niesienia Pomocy, którym kierował pan Skowroński. Istniało też Stowarzyszenie Dobroczynne „Caritas”, ale przede wszystkim pomagali indywidualni mieszkańcy. Na terenie przemarszu rozdawano napoje, owoce, pomidory, chleb.

Polscy maszyniści, wiozący transporty do Pruszkowa, zatrzymywali na moment pociągi we Włochach i Piastowie – to wystarczyło na wrzucenie do odkrytych wagonów kosza jabłek, pomidorów, kromek chleba itp.

Ja też nosiłem jabłka zrywane w bezpieczeństwa sadach za torami kolejowymi. Właściciele zostali wygnani, a domostwa ich zostały spalone. Sady były pełne owoców. Zorganizowano też we Włochach punkt żywnościowy, zbierano prowiant, odzież i środki opatrunkowe. Szukano miejsc noclegowych, pozwalających ukryć przez jakiś czas tych, których udało się wyciągnąć z transportu w czasie przemarszu lub tych, co uciekli na własną rękę. Mieszkańcy Włoch, jak też naszej wsi Budki Szczęśliwickie, walczyli przyczynili się do uratowania wielu, w tym też udział ma nasza rodzina (o tym później).

Mieszkańcy Włoch i osad przyległych pomagali chętnie, zgłaszając się do pomocy – wiele osób zwerbował ówczesny proboszcz ks. Chruścicki.

Członkowie komitetu pracowali bezinteresownie. Nosili opaski Czerwonego Krzyża, a na terenie dworca i w punktach drogowych nosili dodatkowo białe fartuchy. Mając zapas białych fartuchów, opasek potrafili wyciągnąć z transportu wiele osób, ratując przed obozem w Pruszkowie. Mieszkańcy Budek Szczęśliwickich, Włoch i okolic serdecznie i śmiało przyjmowali uciekinierów do swoich mieszkań – dzieląc się z nimi tym, co mieli. Tunele pod torami we Włochach były zamknięte i strzeżone przez Niemców, lecz byli to wermachtowcy. Duża ich część pochodziła z Lotaryngii, byli z reguły narodowości francuskiej. Za łapówki lub „wałówki” kupowano więc u nich „niewidzenie” i ukrywano w tunelach uciekinierów wyrwanych z transportu, aby przeprowadzić ich później w bezpieczne miejsca. Najwięcej osób udało się wyrwać z transportów pieszych. Należy podkreślić ofiarną pracę lekarzy i całej miejscowej służby zdrowia. Pamiętam, że aktywnie uczestniczyła w tej akcji lecząca nas pani dr Zofia Ornoch, lekarka dziecięca, lecząca mnie również – pani dr Janina Dąbrowska i inni.

Po zakończeniu ewakuacji ludności Warszawy Niemcy przeprowadzili we Włochach na Budkach Szczęśliwickich obławę na mężczyzn w wieku 18-45 lat. Wszystkich odstawiono do Pruszkowa i szybko wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec lub innych obozów. Z tej łapanki wrócili nieliczni. W ten sposób złapanym został nasz sąsiad i krewny Józef Kurowski, który zginął w obozie w Niemczech. Ojciec mój w chwili tej obławy, gdy Niemcy weszli do domu Piotra Sucharskiego, gdzie mieszkała rodzina J. Kurowskiego, szybko schował się w piwnicy i tak ocalał.

O nie zniszczeniu Włoch i okolic, w tym Budek Szczęśliwickich, zdecydował fakt napływu rannych i chorych żołnierzy wermachtu, których zza Wisły po ofensywie radzieckiej przywożono do szpitali i na kwatery do zarekwirowanych szkół.

Bezpośredni udział naszej rodziny w ratowaniu życia innych to podjęcie decyzji o przechowywaniu u nas Żyda po Powstaniu Warszawskim.

Sprawa wyglądała następująco – w dniu 3 października 1944 roku w godzinach popołudniowych zjawił się w naszym domu wujek Stanisław Ptaszek, który szedł w transporcie pieszym ewakuowanych z Warszawy wraz z innym mężczyzną, liczącym około 24 lat. Człowiek ów był ubrany w czarny skórzany płaszcz, brązowe bryczesy i czarne buty oficerskie z cholewkami, jego twarz spowita, z wyjątkiem oczu, bandażem. Wujek Ptaszek długo rozmawiał z moim ojcem. Zapowiadając, że jutro się znów pokaże, udał się na ul. Jakubowską we Włochach, gdzie się chował (a po wyzwoleniu w 1945 mieszkał w domu Stahlów na tejże ulicy). Osobnik z zabandażowaną twarzą pozostał u nas. Wówczas posiadał dokumenty na nazwisko Marian Budzyński, był Żydem. Na drugi dzień zabraliśmy się z ojcem i „Marianem” do kopania schowków dla jego ukrycia. Schowków było trzy, dwa w zasadniczej piwnicy po jej bokach jeden pozostał do dziś), a trzeci w dużym pokoju, po przednim wycięciu desek podłogowych tuż przy drzwiach, prowadzących do pokoju. Jako najmłodszy kopałem dół w pokoju. Ojciec z wujkiem i „Marianem” wyrzucali wiadrami ziemię do ogrodu. Pracę przerwała nam niespodziewana wizyta nowych „gości”, którzy wyglądali jak zesłańcy z Syberii. Byli to uciekinierzy z transportu do Pruszkowa – wujek Franek Kowalski z ul. Wspólnej i Janek Orzechowski, jego kuzyn. Przyszli brudni, zarośnięci, głodni, w długich tramwajarskich, zimowych kozuchach i filcowych butach. Zapoznali się wówczas z ukrywającym się u nas Żydem „Marianem”. Zatrzymali się na krótko – dwa dni. Ich dalsza trasa wiodła do Głogowa, skąd pochodził Janek Orzechowski, gdzie mieli się spotkać z pozostałą rodziną. Przeprowadziłem ich bocznymi drogami polnymi do kolejki EKD, omijając posterunki żandarmerii niemieckiej i doprowadzając do pierwszego przystanku kolejki do Pruszkowa. Poczekaliśmy, aż wsiedli do nadjeżdżającego składu w kierunku Grodziska. Nasz ukrywający się „Marian” nie mógł poruszać się swobodnie, gdyż miał zbyt wyraziste rysy semickie. Praktycznie w dzień nie wychodził w ogóle z mieszkania. Dopiero po zapadnięciu zmroku mógł pospacerować po obejściu i działce.

Niemieckie kontrole z uwagi na strefę przyfrontową były dość częste. „Marian”, bo tak go będę nazywał dalej, był człowiekiem o na ogół wesołym usposobieniu, lecz nie ujawniał wiadomości o swym

pochodzeniem. Z jego półsłówki wynikało, że pochodził z bogatej rodziny, miał przy sobie pewną kwotę dolarów, mówił, że uczestniczył w Powstaniu w Getcie i później w Warszawskim. Był ranny (rana była już zagojona) w okolicach prawej strony klatki piersiowej.

Nasze życie wówczas było skromne. Najczęściej jedliśmy zupę z własnych jarzyn, ziemniaki okraszone słoniną, a mleko od babcinej krowy dopełniało nasze menu.

Marian, nie przyzwyczajony do tak prostego jedzenia, często dawał mi pieniądze na zakup wędlin czy mięsa, sera i ryb. Często jeździłem do Jaktorowa po chleb, przywoziłem też stamtąd mąkę, z której babcia piekła ciasto.

U naszej ciotki – Marii Wróblewskiej – po sąsiedzku ukrywana była też Żydówka, pani „Ala”. Marian poznał ją któregoś dnia i od tego momentu spotykali się wieczorem, prowadząc rozmowy w ogrodzie.

W listopadzie babcia zachorowała na tyfus. Lekarz zalecił, niezależnie od leków, dobre odżywianie. Nie było ku temu możliwości finansowych. Pamiętam, że Marian dał mi jednego dnia 10 dolarowy banknot i prosił, abym wymienił go we Włochach na bazarze u „koników” na tzw. „młynarki” i kupił za nie dobrą wędlinę oraz cielęcinę dla babci.

Nie wiem co pomogło, leki czy te mięsiwa – po paru dniach babcia była w lepszym stanie i szybko wstała z łóżka.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w gronie rodzinnym wraz z Marianem. Zbliżał się Nowy Rok 1945. Ojciec posłał mnie do sklepu pani Zawadzkiej na ul. Wschodnią we Włochach, gdzie zakupiłem bimber i wędliny, a w sklepie u państwa Maruszków ryby i mięso, karbid i świece.

Sylwestra spędziliśmy przy naszym patefonie, słuchając muzyki. Zostaliśmy zaskoczeni niespodziewaną wizytą nieproszonych „gości”. Byli to dwaj żołnierze niemieccy. Sytuacja była groźna, gdyż przy stole razem z nami siedział ukrywający się Marian, a ukryć się już nie mógł, gdyż jeden z Niemców patrzył przez szybę do pokoju z zewnątrz, a drugi dobijał się do drzwi. Niemcy wpuszczeni do pokoju byli już trochę podpici, więc ojciec wykorzystał jedyną szansę i zaczął im „podlewać” bimber do kieliszków, aby ich upić. Udało się i Niemcy wkrótce zaczęli głośno śpiewać kolędy w swoim języku. To była straszna noc – około godziny 1 w nocy żołnierze byli już spici zupełnie i nie reagowali na nic, sennie kołysząc się na krzesłach. Marian zaczął coś majstrować przy karabinie jednego z Niemców, lecz babcia skarciła go za to i zaraz odłożył broń. Wykorzystując sen Niemców, opuścił pokój, chowając się do piwnicznej kryjówki, uprzednio zabierając ciepłe koce, aby nie zmarznąć.

Około godz. 6 rano Niemcy się przebudzili i zaczęli bacznie się rozglądać, wypytując też o Mariana. Nie rozumiejąc o co chodzi, bo nikt z nas nie znał niemieckiego – babcia udała się do ciotki Wróblewskiej (po sąsiedzku) i zbudziła panią „Alę”. Ta wreszcie biegle władając językiem niemiecki, wytłumaczyła żołnierzom, że był to kolejarz, który gościł u nas przed udaniem się na służbę. Nie wiem, czy ta „legenda” w pełni ich przekonała, gdyż za 2 dni znów złożyli nam wizytę. Teraz mając doświadczenie z poprzedniego zaskoczenia, Marian zdołał się w porę ukryć, więc go po prostu nie zastali. Po obejrzeniu całego domu i stajni, Niemcy odeszli i już więcej się nie pokazali. To wydarzenie kosztowało nas dużo nerwów, obawialiśmy się o nasze i Mariana życie, tym się wówczas płaciło za ukrywanie Żyda.

Wspomniałem powyżej o ukrywającej się po sąsiedzku u ciotki Marii Wróblewskiej – Żydówce pani „Ali” (właściwe jej imię to Celina). Przebywała u ciotki od połowy 1943, czyli od momentu zlikwidowania getta warszawskiego. Chciałem opisać historię uratowania jej życia – której bohaterem był niemiecki żołnierz wermachtu, mechanik samochodowy, pełniący służbę na lotnisku Okęcie. Był nim (jak to ustaliłem później w 1986 roku) Ernst Heinke, pochodzący z rodziny połabskich Słowian z okolicy Zittau. Służbę w wojskowym lotnictwie odbywał na Okęciu od 1942 – zakochany był w młodszej siostrze ciotki Wróblewskiej – Pelagii – która mieszkała właśnie na Okęciu. Pewnego wieczoru, pełniąc służbę wartowniczą w forcie okęckim, usłyszał płacz w jednej z kazamat fortu – w ten sposób poznał płaczącą w celi panią „Alę”, która opowiedziała mu swą historię.

Była aresztowana przez żandarmerię niemiecką i czasowo, do rana, osadzona przez nich w celi, skąd później mieli ją po przesłuchaniu zabrać do rozstrzelania. Ernst wyprowadził ją na zewnątrz obiektu fortowego, potem ukrył w zaroślach, gdzie kazał jej czekać do zmiany warty i obiecał, że coś wymyśli, aby ją uratować (pani „Ala” perfektnie mówiła po niemiecku, o czym wcześniej już pisałem). Przez swą kochankę – Połę, którą wtajemniczył w tę historię z uwolnioną Żydówką – dowiedział się, że niedaleko mieszka jej siostra, czyli ciotka Wróblewska i tak do niej trafiła „na przechowanie” żydówka. Przez cały czas, od połowy 1943 roku – do momentu przeniesienia z Okęcia do innej jednostki, Ernst (potocznie zwany przez nas „Hans”) przychodził często do ciotki, przynosząc dla ukrywającej się Żydówki część swego prowiantu żołnierskiego (chleb, masło, konserwy i zupy w menażce).

Ciotka ułożyła „legendę”, że pani „Ala” jest krewną Ernstą i tak to trwało. Nie miała ona rysów semickich, a dla lepszego konspirowania się farbowała czarne włosy na blond. Znając niemiecki, niekiedy występowała jako tłumacz w przypadku jakiś niespodziewanych wizyt Niemca we wsi Budki Szczęśliwickie.

Wracając do zasadniczej chronologii wydarzeń, po Powstaniu Warszawskim niemieckie władze zarządziły na powrót przymusowe roboty, związane z rozbudową fortyfikacji Warszawy. O swej przymusowej pracy napiszę później, teraz chciałbym opisać dalsze losy pani „Ali” wynikiem z tego zarządzenia. Obok robót fortyfikacyjnych Niemcy zażądali też kontyngentu kobiecego, który miał pomagać w ich kuchni polowej ulokowanej przy ul. Na Bateryjce. Z naszej ówczesnej wsi przymusowo musiało podjąć tę pracę 9 kobiet, wśród nich pani „Ala”, córka ciotki – Jaśka, żona Tadka Podolskiego pani Janina i inne. Kobiety pracujące w kuchni polowej, obierały ziemniaki, warzywa i inne produkty, jak też wykopywały je na pobliskich polach. Pracowały tam do wyzwolenia – codziennie musiały o określonej godzinie stawiać się w okolicach niestrzeżonego przejazdu kolejowego na linii radomskiej (tzw. Białe słupki). Tam oczekiwało na nie dwóch wartowników niemieckich, którzy konwojowali je do pracy.

„Marian przeżył okupację – później był w Wojsku Polskim w stopniu oficerskim i mieszkał w Łodzi, gdzie często widywał go wujek Franek Kowalski, który po wyzwoleniu osiedlił się w tym mieście. Natomiast pani „Ala”, która też przeżyła okupację, w 1946 roku wyjechała do Izraela. Tam założyła rodzinę – wyszła za mąż, mieszka w Hajfie przy ul. Rech Herelija 31. Miała córkę, która jak wynikało z jej ostatniego listu pisanego do ciotki, była uczennicą tamtejszego gimnazjum. To był ostatni jej list, który trafił do ciotki – ciotka też już nie żyje.

Żołnierz niemieckiego wermachtu – Ernst Heinke, który uratował panią „Alę” zginął w 1944 roku w okolicach Królewca. Podając to w swoich wspomnieniach, chciałbym dać wyraz prawdzie – że był nie tylko Schindler, który ratował Żydów, ale i Polacy, którzy własnym życiem ryzykowali i ten Niemiec, który podobnie postąpił. Sądzę, że i oni powinni znaleźć się na liście Instytutu Pamięci w Izraelu. I w naszym Ministerstwie ds. Kombatantów też powinny być o nich jakieś wzmianki, aby nie uszło to pamięci.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o dalszej przymusowej pracy przy kopaniu umocnień. Mieszkańcy Włoch i okolicznych byłych wsi, w tym i naszej, zobowiązani zostali do stawienia się w określonych miejscach zbiórek celem kopania okopów i innych stanowisk bojowych. Wykonania zarządzeń władz okupacyjnych mieli dopilnować wójtowie gmin, a ci zobowiązali do tego sołtysów. Nasz sołtys, pan Aleksander Stolarski, zobowiązał wcześniej wyznaczone osoby do tych prac (z okresu sprzed Powstania Warszawskiego) do stawienia się na końcu byłej wsi Szczęśliwice przy Al. Krakowskiej. Tam oczekiwali wartownicy niemieccy, którzy doprowadzali nas do ul. Raclawickiej u zbiegu z dzisiejszą ul. Miłobędzką, gdzie wyznaczono nam kopanie okopów, jak też rowów na byłym lotnisku mokotowskim. Niemiec wartownicy przed wieczorem odprowadzali nas do wsi. Pracowaliśmy tam przez okres 4 dni. Później zaprowadzono nas do Śródmieścia, gdzie u zbiegu ul. Kruczej, Pięknej i Mokotowskiej, najpierw odgruzowywaliśmy, potem kopaliśmy schrony na stanowiska bojowe. Pamiętam, że Niemcy wówczas mieli rozwieszane między domami duże płachty (siatki) maskujące, chroniące przed rozpoznaniem lotniczym. Po dwóch dniach przerzucono nas do podobnych prac w rejon ulic Żytniej i Okopowej. Szliśmy wówczas ul. Wolską, przypomniałem sobie opowiadanie z okresu powstania zbiegłej z Woli kobiety o masowym morderstwie ludności Woli na terenie fabryki papieru u Franaszka. Udając, że idę za potrzebą, wszedłem na chwilę w czeluść bramy tej fabryki – zobaczyłem makabryczny widok leżących na podwórku kości, szkieletów ludzkich, jeszcze poczułem unoszący się trupi odór, pomimo, że zwłoki były częściowo zwęglone. Stwierdziłem, że ta kobieta mówiła prawdę, był to widok przerażający dla dziecka. Na Woli kopaliśmy później jeszcze okopy w rejonie ul. Górczewskiej, tuż za linią kolejową na uprawnych polach, gdzie jeszcze były plony nie zebrane przez gospodarzy, których wysiedlono z ich domostw. Kopiając umocnienia – piekliśmy ziemniaki zbierane z tych pól.

Wracając do domu, u zbiegu ul. Wolskiej za wiaduktem kolejowym przy ul. Bema, oglądałem barbarzyńskie metody niszczenia dóbr kultury polskiej. Tuż przy tym wiadukcie leżała sterta spalonych polskich książek. Były to chyba cenne książki, częściowo nie dopalone ich okładki z cienkiej skóry wskazywały na ich wartość. Było tego bardzo dużo.

Przeszedł już 2 tydzień jak kopaliśmy umocnienia dla okupanta. Przerzucono nas w okolice dzisiejszych Siekierok i Wilanowa. Kopaliśmy tam olbrzymie rowy przeciwczołgowe. Praca była mordercza nie ze względu na jej tempo, lecz ze względu na prowadzony od strony praskiej ostrzał artyleryjski. Strzelały do nas działa radzieckie. Tego dnia zostały ranne 2 lub 3 osoby z grona polskich kopaczy rowów.

Pod wieczór nie wróciliśmy do domów, konwojenci zaprowadzili nas do budynków klasztornych Ojców Dominikanów – tam wydano nam zupe, której nie mieliśmy w co wlać. Znalazłem na szczęście puszkę po konserwach i to był mój talerz. Rano dostaliśmy gorzką kawę zbożową, kromkę czarnego chleba, trochę margaryny i marmolady i znów pognano nas do kopania rowów przeciwczołgowych. Był ze mną z naszej wsi Zdzisiek Łepak. Dzień był pogodny, choć już dość zimny. Z prawego brzegu Wisły znów zaczęto strzelać z armat, jeszcze nie do nas, lecz w zabudowania klasztorne, gdzie spędziliśmy noc, które usytuowane na wzgórzu, dominowały nad okolicą. Po zakończonym ostrzale klasztoru ogień znów przeniesiono na kopiających i jakby tego było za mało, za chwilę nadleciały 2 myśliwce z czerwoną

gwiazdą, ostrzeliwując z broni pokładowej nie tylko pilnujących nas wartowników niemieckich, ale i kopiących Polaków. Mój kolega – Zdzisiek – o mało nie został ranny od wybuchu pocisku armatniego, odłamek uderzył na szczęście w jego szpadel.

Na trzeci dzień niewyspani i głodni pognani zostaliśmy znów w to samo miejsce do dalszego kopania. Postanowiliśmy po powrocie do klasztoru uciekać do domu. Klasztor nie był przyjemnym miejscem. Powybijane szyby, mury uszkodzone częściowo przez pociski, spanie na gołej podłodze z resztkami starej słomy, bez przykrycia, z grasującymi pchłami. To był koszmar a nie sen, po wyczerpującej całodzienniej pracy.

Zastanawialiśmy się, jaki wybrać kierunek ucieczki, jak wdrapać się na okalający mur klasztorny. Zaczęliśmy obserwować chodzących wartowników – stwierdzając, że pomiędzy jednym a drugim ich przemarszem jest dość znaczna luka czasowa, która pozwoli na sforsowanie muru i dojście do opuszczonego gospodarstwa przyklasztornego, którego pola i sad sąsiadowały z blisko leżącym cmentarzem (dzisiejszy cmentarz przy ul. Wałbrzyskiej). Ucieczka nam się udała. Nocą szliśmy przez łąki leżące w pobliżu potoczku służewieckiego i kryliśmy się w krzakach go okalających. Odbiliśmy później bardziej w prawo, aby uniknąć podchodzenia blisko toru wyścigowego na Służewcu, gdzie kwaterowali Niemcy. Szliśmy dalej polami uprawnymi wsi Zbarż – zmierzając do Szczęśliwie. Szczęśliwie dotarliśmy do Al. Krakowskiej w miejscu obecnie istniejącego wiaduktu kolejowego na Rakowcu. Nie dostrzegając żadnego niebezpieczeństwa na szosie krakowskiej, szybko ją przebiegliśmy. Wczesnym rankiem dotarliśmy do naszych domów. To był mój ostatni pobyt na robotach przymusowych – więcej już nie poszedłem do kopania okopów.

Jeszcze trwała okupacja, było coraz gorzej, jeśli chodzi o warunki bytowe. Ustały przydziały kartkowe chleba, po który znów zaczęliśmy jeździć z Tadkiem Szymańskim do Jaktorowa.

W przededniu wyzwolenia chodziłem najczęściej tylko na bazar włochowski – gdzie dokonywałem zakupów różnych artykułów niezbędnych w domu tj. świec, karbidu do lampek. Ranek wstał pogodny i mroźny. Po zjedzeniu śniadania udałem się do Stefka Kamińskiego i razem poszliśmy w kierunku tzw. Białych Słupów. Po wejściu na ich koronę ujraliśmy, że nie ma działek przeciwlotniczych na fosie fortowej ani Niemców. Nie było też mostu radomskiego, tylko powyginana kupa żelastwa – most został wysadzony w powietrze. Poszliśmy dalej w kierunku ul. Włochowskiej i Dworca Zachodniego. Naszym oczom ukazał się widok wysadzonych przez uciekającego okupanta parowozowni i wieży ciśnień oraz szyn kolejowych.

Doszliśmy tak do ul. Na Baterijce, gdzie stały ciężkie działa niemieckie – Niemcy nie zdążyli ich ewakuować, stały na swych miejscach, ale bez zamków. Wchodziliśmy do niektórych bunkrów, piwnic i ziemianek żołnierskich. Oczom naszym ukazało się mnóstwo pozostawionej broni, amunicji i innego sprzętu wojskowego. Szybko znaleźliśmy plecaki i chlebaki niemieckie. W plecaki załadowaliśmy porzucone pistolety, ja wziąłem dla siebie pistolet typu Walter i Parabellum oraz mały rewolwer bębnekowy na amunicję do KPS-u i raketnicę, jak również zapas amunicji. Wkrótce plecak i chlebak były wypełnione. To były moje „zdobycze” pierwszego dnia wolności.

Jeszcze tego dnia wyruszyłem do Warszawy wraz z Tadkiem Szymańskim – chciałem zobaczyć, czy stoi jeszcze kamienica przy ul. Wspólnej 64, gdzie mieszkałem u ciotki Kowalskiej w czasie oblężenia Warszawy. Na Wspólną dotarliśmy, idąc pieszo, za jakieś 3 godziny. Stwierdziłem, że kamienica jest spalona, zwalone były wszystkie jej stropy, gdyż były drewniane. Do piwnic nie można było wejść z uwagi na zasypane gruzem dojścia i jeszcze tłący się w nich węgiel. Zawróciliśmy w Poznańską, dochodząc do Nowogrodzkiej, gdzie tuż przy dawnej sali „Roma” stały duże magazyny żywnościowe. Przy nich już zgromadziło się mnóstwo osób cywilnych i wojskowych. Magazyny zostały podpalone przez uciekających okupantów. Pomimo, że jeszcze się tliły, ludzie i wojsko wchodzili do pomieszczeń magazynowych i wynosili z nich nadpalone produkty, konserwy, papierosy, torebki z oblewaną lukrem pszenicą i okrągłe pudełka z niemiecką czekoladą dla lotników.

Zdobyczą naszą z tego magazynu było parę okrągłych pudełek lotniczych czekolad, trochę słodkiej pszenicy i parę paczek niemieckich papierosów „Juno”.

Wracaliśmy tą samą drogą, jednak przy Dworcu Zachodnim skręciliśmy na Baterijkę, gdzie już było dużo ludzi, wynoszących ze schronów niemieckich i ziemianek różne dobra pozostawione przez Niemców. Były to dywany, którymi wyłożone zostały ziemianki, koldry, koce i meble.

Babcia też uczestniczyła w tej eskapadzie, niosąc na plecach do domu stół biurowy z 2 szufladami. Ten stół jest do dziś i choć już stoi w garażu, przypomina mi pierwszy dzień wolności, podobnie jak stara niemiecka łopatka saperska.

Resztę „zdobyczy” wojennych utraciłem, gdyż ojciec znalazł kiedyś ukryte pistolety i utopił je w pobliskiej sadzawce wraz z amunicją. Raketnicę straciłem wraz z ładunkiem do niej w nieprzyjemnej dla mnie sytuacji – gdy w czasie strzelania kolorowymi raketami zostaliśmy z kolegami w pewnym momencie, latem 1945, otoczeni przez żandarmerię wojskową, która strzegła dowództwa Wojska Polskiego, zajmującego kwatery we Włochach. Nie tylko, że odebrano nam raketnicę i rakiety, ale jeszcze wojskowym pasem dostaliśmy po czteroliterowej części ciała.

Nastąpiło wyzwolenie. Otwarto też po uporządkowaniu naszą szkołę, w której już normalnie była prowadzona nauka – w tym nauczano przedmiotów dotychczas zakazanych, jak na przykład historia Polski. Skończyło się dotychczasowe „życie dorosłego człowieka”, w które wtoczyła nas wojna, a więc szmugiel, handel, roboty przymusowe, brak chleba i zabaw. To wszystko było już niby za nami, a jednak w psychice pozostały te nawyki „dorosłego” myślenia.

Owszem, bawiliśmy się w wojsko, ale nie drewnianymi karabinami dziecięcymi – koledzy, podobnie jak ja, mieli prawdziwe karabiny z amunicją i z nich strzelali. Ja też byłem jednym z nich.

Mieliśmy też nieograniczone ilości materiałów wybuchowych (tuż po wyzwoleniu), trotylu i dynamitu. Dwa budynki kolejowe ówczesnej wagonowni Szczęśliwice-Czyste były wypełnione prawie pod sufit tymi materiałami. Bawiliśmy się tym na starych fortach, płosząc dzikie króliki i detonując dynamit w ich norach. W okolicy wszędzie leżały pozostałości wojenne – pięści pancerne, granaty, pociski artyleryjskie, moździerz. Jako 13-latek doskonale byłem obeznany ze strzelaniem z różnego rodzaju broni niemieckiej, rzucaniem granatami „palkowymi” szczególnie do wody na fortach, gdzie obok efektów wybuchowych łapaliśmy w ten sposób ogłuszone ryby.

Były to zabawy, a więc jak gdyby nawrót utraconego dzieciństwa, lecz nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak to jest groźne dla 14-15-latków i jakie mogło nieść skutki w postaci urwanych palców, rąk, ślepoty, czy wreszcie śmierci. Taka była niekiedy cena tych niebezpiecznych zabaw przy próbie powrotu do zabranego przez wojnę dzieciństwa.

W normalnych warunkach, gdyby nie było wojny, zabawy te odbywałyby się przy użyciu zabawek imitujących pistolety i karabiny. Wojna wtoczyła nam u swego schyłku – do ręki prawdziwe pistolety, karabiny, amunicję, granaty i materiały wybuchowe. Przed tym zaś, w czasie jej trwania, przedstawiała nam sceny rozstrzeliwań, wieszania ludzi, palenia wsi i miast, burzenia domów z zamieszkałymi w nich żywymi ludźmi. Nauczyła nas, wówczas nastolatków, handlu wszystkim, co pozwoliło kupić upragniony kawałek chleba. Sztuki ukrywania się, oszukiwania, aby przeżyć, kradzieży na przykład węgla, aby można było palić w szkolnych piecach i w domu, znoszenia obelg za to, że byliśmy na swojej ziemi, traktowania przez „zdobywców” jako „polskie świnię”, poniżania godności poprzez uprzywilejowania „zdobywców” w środkach komunikacji publicznej przez wydzielenie im specjalnych przedziałów. Pokonani jeździli nimi jak ubita masa ze względu na wprowadzone ograniczenia. Tak staliśmy się dorosłymi, będąc dziećmi.

Będąc już dziadkiem, przy jednej z wigilijnej wieczerzy, kiedy moja wnuczka prosiła o zaśpiewanie jej sparafrazowanej w czasie okupacji kolędy „Dzisiaj w Betlejem” – opowiedziałem jej fragment moich dziecięcych przeżyć z czasów wojny, o których tu piszę. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem, sądząc, że z niej żartuję. W głowie 14-letniej dziewczynki, obywatelki Wolnej Polski, nie mieściły się przeżycia, które były moim udziałem w czasie wojny.